

## *Egzotyczne noce*

Wszystko zaczęło się w najgorętszej godzinie najgorętszego miesiąca w najgorętszym miasteczku południowej Francji.

Była pełnia lata, nasłonecznienie tak silne, że ziemia zdawała się wrzeć z wolna w błyszczącej mgiele; promienie operowały z taką zapalczywością i namacalną niemal siłą, iż odnosiło się wrażenie, że to nie światło wcale; że to wysypuje się z jakiegoś krateru na słońcu i spada na rozpalone upałem miasteczko drobniutki, świecący pył.

Nie wiał najslabszy nawet wietrzyk i ustało w rozleniwionym mieście na czas jakiś wszelkie życie. Nie licząc rozlegającego się pośród suchych, kurzem pokrytych listków lipy zgiełkliwego, radosnego cykania świerszczy, panowała wokół niczym nie zmacona cisza.

Okiennice większości domów, jak w głuchą noc, szczelnie były zamknięte; miasteczko sprawiało wrażenie wyludnionego. I tylko w jednym z okien pewnej starej rezydencji stała, opierając się o parapet i wpatrując z rozmarzeniem w widok przed oknem, młoda dziewczyna.

„Dlaczegoż to owa młoda dziewczyna wyglądała przez okno?” — spytacie zapewne. Dlaczego? Wszak Spinoza dawno już stwierdził, iż „nie znamy przyczyn będących motorem naszego działania”. Podejrzewam, że i nasza młoda osoba nie bardzo sama wiedziała, co kazało jej stać w skwarnym słońcu i wyglądać przez okno.

Dom, o którym mowa, zbudowany w czasach Franciszka Pierwszego — najczystszy Renesans, jeśli określenie „czysty” można odnieść do stylu Rokoko — był obecnie w stanie nieco podupadłym, co czyniło go bodaj bardziej jeszcze malowniczym, albowiem właścicielka, osoba w tym czasie niezbyt już majątna, nie zdobyła się nigdy na to, by pokryć dom warstwą tynku, jak czyniła to ze swoją twarzą: *Pour réparer des ans l'irréparable outrage.*

Przestrzeń wokół domu, otoczona niskim, rozsypującym się murem ze starą drewnianą bramą, miała w zamierzeniu zostać kiedyś zabudowana przez właścicieli rezydencji, ale czasy prawdziwej świetności miasteczka dawno już poszły w zapomnienie: zdaje się teraz być wręcz zbyt obszernym dla kurczącej się wciąż liczby jego mieszkańców.

Są miejsca, gdzie natura, będąc przez czas jakiś zbyt rozrzutną, przestaje potem na setki lat dawać plony; są miasta, które, zaznawszy krótkiego okresu splendoru, żyją przez całe wieki leniwym, ospałym życiem; są ludzie, którzy, przeżywszy jeden dzień młodzięcych nadziei, wiodą potem przez lata bezbarwny, jałowy żywot, wracając wciąż myślami do przeszłości. Także było i z naszym miasteczkiem.

Przestrzeń tę wykorzystuje się tymczasem jako pewnego rodzaju błonia; kilka razy do roku gęsto robi się tu od brezentowych namiotów, teatrzyków za grosik i kuglarzy urządzających tanie pokazy sztuczek; roi się tu wtedy — w zastępstwie lwów i tygrysów — od kotów i pudli.

W tej chwili teren ów jest niemal całkiem pusty, stoi tam tylko zdezelowana karuzela, a nawet ta zażywa w obecnym momencie poobiedniej sjęsty; okryto ją szczelnie, żeby zasłanie groźnie wyglądające, cętkowane niczym lamparty konie i pstrokate wagoniki przed bezlitosnym działaniem słońca w zenicie.

Jedynie żywe istoty na tej małej Saharze kurzu i piasku to młody mężczyzna — właściciel karuzeli — i jego pies rasy mieszanej. Młodzieniec, oparty plecami o piramidę zmiętych, postrzępionych płócien, z gołymi nogami wyciągniętymi na kawałku maty, zabija czas marząc leniwie.

Przed sennymi powiekami przesuwiają się wizje budzących uwielbienie kobiet, ukazując mu sceny, jakie, być może, oglądano kiedyś w którejś ze świątyń Cytery.

Wszystkie przywoływane siłą wyobraźni dziewczęta są młode i zachwycającej piękności, ale, w przeciwieństwie do niego — wszak miłość gustuje w przeciwieństwach — większość z nich to delikatne, kruche istoty, a każda cudna jak promyk księżycy, giętka jak wierzbowa gałązka, zwiewna jak rusałka; płęć każdej niczym śniegi Mount Rosa rozświetlone pierwszymi, słabymi promykami wstającego słońca.

Jest pośród nich — i owszem — kilka panien

niewielu korpulentniejszych, z okrągłymi brzuskami, przysadzistymi biodrami i kruczoczarnym gęstym włosiem. Atoli nie owe nader ponętne niewiasty przyciągają uwagę młodzieńca.

Choć w większości nagie jak je Pan Bóg stworzył, niektóre z nich odziane były w delikatnie farbowane, cieniuchne niczym poranna mgiełka, przezroczyste szaty, jakby mgliste draperie, podkreślające jedynie owe nieprze-ścignione przymioty, jakimi obdarowała je była natura.

Kiedy tak przygląda im się oczyma wyobraźni, jak przybierają w tańcu najwymyślniejsze lubieżne pozy, jak przechylają się zalotnie w przód i w tył chcąc go zabawić, całe jego ciało ogarnia powoli rozkoszny dreszcz. Jest młody, tryska zdrowiem, i minęło już wiele czasu od chwili, gdy ostatni raz kosztował upojnej, odurzającej słodczy wilgotnych kobiecych warg.

Choć z natury marzycielem wcale nie był, pobudzona do granic erotyczna fantazja sprawiła, że nimfy, powolne mu jak marionetki, spełniają w mig najdrobniejszą jego zachciankę; tak więc — podczas gdy zastępy cudnych białogłów splatają ramiona, napinają kończyny i ściskają pączkom podobne piersi, czyniąc przy tym przeróżne wygibusy, skacząc, swawoląc, psocąc, pojedynczo, parami i wszystkie razem — on nakazuje najurodziwszej wśród tych hurysk — nieskalanej wdzięcznej dziewczeczce — podrzucić zmysłowo udami i rozchylić je dość szeroko, żeby można dostrzec między nimi lekką krzywiznę małej szparki.

Rychło wszak, nie dość mając jeszcze i chcąc

dojrzyć więcej, życzy sobie, by uniosła do góry piękną kragłą nóżkę i żeby, schwyciwszy cienkimi palcami małej rączki różowobiały paluszek u stopy, tańczyła jak baletnica na drugiej nodze.

Jego życzenie jest dla dziewczęcia rozkazem.

Rozwierają się bramy skarbcza, maleńka dziurka obnaża skrywane wstydliwie precjoza, delikatne różowe wargi, rozchylając się niczym płatki żywego kwiatu, ukazują czarowny świat soczystego miękkiego ciała, a w nim drgający zmysłowo malutki słupek.

Na widok tak skończonej piękności opanowuje go nieposkromiona żądza, serce wali mu w piersi, czuje zawrót głowy i — tak bowiem nadzwyczajna jest siła i sugestywność obrazu — zapomina się całkiem i otwiera szeroko oczy.

Niestety, po to tylko, by oślepił go biały, rażący wzrok kurz, by uderzyła weń jaskrawość odbitych od błyszczącego muru z naprzeciwka promieni słońca. Marszczy brwi, mruży oczy i czym prędzej mocno je zamyka.

Rozpierzchły się rozkoszne wytwory rozgrzanej słońcem wyobraźni, nic nie zostało, jedynie oślepiający blask, jak od pożogi, a w blasku zderzają się ze sobą niezliczone ilości wirujących iskierek i wijących się, ścigających nawzajem ognistych mikrobów.

Po kilku chwilach próbuje przywołać w myślach obraz czarownej Bajadery i kazać jej, by zademonstrowała raz jeszcze swe wdzięki, co drażnią zmysły, niosąc im wraz namiastkę ukojenia, podobnie jak widok spienionej wody daje zaschniętemu gardłu utrudzonego podróżnika miły przedsmak świeżości, wzmagając w nim

jednocześnie palące pragnienie. Przemysłne dziewczę opiera się jego pokusom, głuche na wszelkie zakłęcia. Młodzianowi zaś ukazuje się kolejna wizja.

Kilka dni wcześniej pewna hoża wiejska panna przyszła wraz ze swym dziarskim kawalerem przejechać się na jego nakrapianym koni-  
to była przyjemność kręcić się tak dokoła siedząc jedno obok drugiego, a jeszcze większa czuć raz po raz, jak stykają się i ocierają o siebie kolana i uda.

Wydali jedyne cztery pensy, a przecie niejeden, podejrzewam, milioner oddałby połowę swoich rocznych zysków, gdyby tylko kupić mógł od nich te chwile rozkoszy.

Młodzian od karuzeli zobaczył teraz oczyma wyobraźni pannę i kawalera, tak jak widział ich owego wieczora; tyle tylko, że rozpalona wyobraźnia podsunęła mu znacznie więcej, niżli faktycznie widziały pierwiej jego oczy.

Ona była pulchną, rumianą dziewoją o twarzy pełnej apetycznych dołeczków i piegów o czarnych, śmiejących się oczach, skórze ogorzałej od ciągłego wystawiania w czas żniw na słońce i krągłych kończynach, jędrnych jak miąższ dzikiego winogrona.

A co się tyczy naszego młodzieńca! Żądza zdawała się zionąć z niego wszystkimi porami ciała, płonęła w roziskrzonych oczach, jeżyła się w czarnych krzaczastych wąsach, kipiała mięsistymi pełnymi wargami.

Gdy pogasły na dziedzińcu wszystkie lampy, zobaczył, jak zakochani oddalają się powoli, i słyszał wypowiedane półgłosem słowa

miłości, które brzmiały niczym czułe gołębie gruchanie.

Przeszedłszy z ociąganiem ledwie parę kroków, zatrzymali się w ciemności i kawaler, ująwszy w szeroką dłoń twarz dziewczyny, pochylił się i namiętnie wpił usta w rwące się ku niemu soczyste wargi.

W tej chwili nasz bohater czuje niemal, jak kołaczą się ich podniecone serca, jak dygoce w nich każdy nerw ciała.

Po chwili rozejrzeli się, by sprawdzić, czy nie ma nikogo w pobliżu; następnie krzepki młodzian objął dziewczę w pół muskularnym ramieniem — zdołałby nim, zaiste, wyrwać i dąb z korzeniami — i mocno przycisnął do piersi.

Na ten uścisk odpowiedziało całe ciało dziewczyny; piersi nabrzmiały, uniosły się lekko, jakby wychodząc na spotkanie męskim pieszczotom.

Skoro tylko członki ich znalazły się w nie znanej dotąd bliskości, w głodnych spojrzeniach błysnęła paląca tęsknota.

Stali tak przez czas jakiś, szepieni razem, z gorączkowym zapałem spijając z ust swych oddech, wsysając się w wargi.

Przyciskali się do siebie udami, pieścili kolanami i całowali się, całowali, a im dłużej to trwało, tym silniej wzbierało w nich pragnienie nowych pocałunków.

Ich krew stawała się coraz to gorętsza, aż zawrzała uderzywszy do głowy, i świat począł wirować w takim tempie, że ledwie utrzymać mogli równowagę. Opary chuci odurzyły ich w takim stopniu, jakby spojeni byli winem.



Wreszcie ruszyli z miejsca, nie wiedząc jednak zgoła, dokąd idą; dlatego też, miast zbliżyć się do wyjścia, rychło znaleźli się w najodleglejszym zakątku dziedzińca; tam wszczęli od nowa swoje karesy.

Niemal bez jej wiedzy, kawaler zdjął swej lubej chustkę, rozpiął suknię, wetknął rękę za koszulę i ją przebierał palcami po krągłych, pełnych piersiach, białych niczym bita śmietana, pachnących jak kwiecie głogu.

Potem — nie mogąc oprzeć się pokusie — schylił głowę, ucałował jej pierś, ssał na przemian to jedną, to drugą maleńkie różowe brodawki; ona zaś — niezdolna dłużej pozostawać bierną — rozchyliła uda, błędząc po omacku ręką w gąszczu jego krzaczastych kędziorów.

Po chwili podniósł głowę, objął ją znowu wpół lewym ramieniem i wcisnął jej w usta język, podnosząc w tym samym czasie prawą ręką kuse spódnice. Dziewczyna schwyciła natrętną rękę i walczyła, starając się ją powstrzymać, ale ten opór rozniecał tylko w niej samej tym większy ogień, roziskrzył jej oczy; po tej przeto drobnej utarczce zmiękła jak воск i poddała się ostatecznie jego woli. Ręka zwycięzcy spoczęła na środkowych partiach jej ciała.

Przez ułamek sekundy zabawiał się kosmatą kępką, nie mogąc się jakby zdecydować, co dalej począć; następnie — połechtawszy ją leciutko w miejsce nader wrażliwe — opuścił spodnie i, rozwierając jej uda, wcisnął swój szpikulec pomiędzy rozchylone przyjaźnie maleńkie wargi.

Młodzieniec słyszał teraz wyraźnie powolny

rytmiczny ruch: do przodu-do tyłu, i uczył naraz tak silną chuć, że krew buchnęła mu do głowy z hukiem, zda się, rozszalałych wód, kiedy puszcza tamy.

Cóż to była za noc miłości! W górze, na mglistej, mlecznej drodze, migotały słabym światłem odległe gwiazdy, niezliczone ilości pulsujących oczu, śmiejących się przyjaźnie do pary kochanków.

W ciszy letniego wieczora odzywał się zalotnie słowik, drozd śpiewak i parę innych jeszcze radosnych ptaszków, wtórując swą melodią odgłosom całusów; westchnieniom i jękem długo wstrzymywanej miłości i pomrukom męskiej żądzy.

Wiejący zza morza od balsamicznych równin gorący południowy wietrzyk niósł ze sobą aromat kapryfolium i duszną woń róż w pełnym rozkwicie. Tej nocy przyroda omdlewała miłością, drżała z pragnienia rozgrzana ziemia.

Teraz — w skwarным południowym słońcu — młodzieniec od karuzeli przywoływał w pamięci ekstazę, którą, jak sobie wyobrażał, przeżywali kochankowie łącząc się, w odpowiedzi na zew natury, w jedno ciało. Widział wyostrozonymi zmysłami, jak dziewczyna przewraca oczyma w chwili, gdy jej dusza ulatuje z ciała od niewymownej rozkoszy. Słyszał pojękiwanie mężczyzny, czuł na twarzy jego gorący oddech.

Czyż zatem dziwić się trzeba, że całym ciałem jego wstrząsnęły dreszcze, że szpikulec stanął, twardy i spęczniały, nabrzmiały krwią, cały pulsujący życiem?

Naraz wydało się młodzieńcowi, jakby był dwupłciowy i, jak hermafrodyta, przyjmował każde pchnięcie, samemu jednocześnie każde zadając. Dygotał od pożądania, nerwy boleśnie mając napięte, stawy zaś rozmiękłe całkiem od nadmiaru rozkoszy.

Znów otwarł oczy i znowu oślepiły go promienie słońca, i nie mógł zrazu pojąć, kim jest i gdzie się znajduje.

Przypomniawszy sobie znów, jak odchodził tamtej nocy od zmysłów, jak, nie znalazłszy ujścia, żądza owa nieujarzmiona w ból się zamieniła.

Mózg palił go, serce chciało rozsadzić pierś; zataczał się jak pijany, wreszcie legł na nagim gruncie. A gdy tak leżał, wijąc się w spazmatycznych drgawkach, zdało mu się, że czuje pod sobą tętniące łono matki ziemi, tak jak mąż czuć może wstrząsane wewnętrznymi ruchami brzemiennie łono żony.

Teraz, leżąc na swej przykusej macie, rozmyślając o tym, co widział, a dośpiwując sobie, czego nie widział, uczuł, iż ogarnia go chuć tak potężna, że krew wrzeć w nim zaczyna, wargi pęcznieją, całe ciało aż drży od podniecenia, a korzeń staje się tak wielki i sztywny, że tylko patrzeć, a rozpruje sfatygowane mocno bryczesy wyskakując na wolność. Jedną ręką ujął go i z całych sił ścisnął, chcąc, zda się, uspokoić jego nerwowe drzenie, drugą położył na łbie wygrzewającego się w słońcu u jego boku sparszywiałego kundla.

Jestli możliwym przekazanie emocji psu przez jego pana?

Któż to może wiedzieć!

Transfer myśli wynaleziono wszak zaledwie wczoraj.

Pies w każdym razie dysponuje ostrzejszym od nas zmysłem wzroku, słuchu i węchu, poza tym umysł psa nie skażony jest jeszcze niemiecką metafizyką.

Psisko drzemało sobie do tej pory najspokojniej w świecie, budząc się tylko raz po raz, żeby wyskubać jakąś dokuczliwą pchłę albo kłapnąć zębami brzęczącą natrętnie muchę. Ledwie pan położył na łbie zwierzęcia rękę, pies zerwał się i — wciągnawszy gwałtownie w nozdrza duszne powietrze — jął pocierać pyskiem o twarz swego pana, gdy tymczasem z włochatej pochewki wystrzelił ochoczo długi, ostry, cieniutki koniuszek rozpalonego penisa. Kundel przyglądał się panu uważnie, z inteligentnym wyrazem ślepiów, które zdawały się mówić: „Obaj jesteśmy wyrzutkami bez pary”. Młodzieniec, wzruszywszy się, pogłaskał czule kudłatą sierść jedyne go swego przyjaciela, ten zaś odwzajemnił się zmysłowym liźnięciem pieszczącej go ręki.

Całej scenie, najdrobniejszym jej szczegółom, przypatrywała się młoda dziewczyna z okna. Widziała zrazu wyzierający w rozcięciu spodni kawałek rozpalonego do czerwoności ciała, potem zauważyła, jak młodzieniec ujmuje ową trzepocącą ptaszynę w dłoń.

Była to dziewczyna wysoka, szczupłej, delikatnej, zwiewnej budowy ciała, jeśli zaś chodzi o kolorystykę, mogłaby służyć artyście za wyśmienity model do studium szarości. Włosy jej — miękkie i błyszczące — były koloru bladego

złota, a może raczej jasnopopielate; jej płeć — niemal jednej barwy — była tylko trochę zaróżowiona na policzkach i odrobinę ezerwień-sza na wargach; barwy bladej, matowej, orzechowej szarości były także ocienione długimi płowymi rzęsami oczy. Jej suknia z tkaniny koloru matowego srebra, zwanej, jeśli się nie mylę, Barege, wyglądała, jakby utkano ją z pierzastych chmur.

Dziewczyna wzbudzała ogólny zachwyt i zainteresowanie, a w okresie, gdy wychodziła za mąż, nie tylko mężczyźni, ale i kobiety ogarniało szaleństwo na punkcie tej Madonnie podobnej piękności; a przecie niewielu znaleźć by można ludzi obdarzonych w wystarczającym stopniu wyczuciem koloru, by ją docenić.

Zapytacie, w czym tkwił zatem sekret tej tak powszechnej admiracji?

Otóż w tym, że niepodobną była do innych. To, co ją wyróżniało, można by przyrównać wdziękowi cudnej młodej dziewczynki w prostej białej perkalowej sukni, pośród tłumu biżuterią obwieszonych dam w wykwinnych atłasach i krzykliwych jedwabiach.

Jej uroda wszelako tak dziwnie była nieziemską, że zaiste studziła zapały niektórych, przyprawiając ich wręcz o niemiłe uczucie chłodu i dreszcze; kochać taką kobietę było niemal świętokradztwem, to tak, jakby czuć żądzę na widok malowidła przedstawiającego świętą.

Tamtego upalnego dnia w środku lata sprawiała wrażenie bardziej jeszcze bezkrwistej, bardziej zwiewnej, była jeszcze bardziej podobną lilii niż zazwyczaj. A przecie — mimo aniel-

skiego wyglądu — każdym nerwem czuła mrowiące podniecenie i krew burzyła się w niej lubieżnie. Faktem jest, iż zaledwie dzień wcześniej ustał był jej kobiecy period i czuła się jak rekonwalescentka, która wstając z łoża boleści doznaje uczucia, że w jej żyłach pulsuje wraz z krwią całkiem nowe życie. Tak więc przypadłość owa miesięczna pozostawiła ciało dziewczyny słabym i omdlewającym i, rzecz gorsza, rozpałała w jej łonie istną pożogę, której żar, sięgnąwszy umysłu, obudził nieprzepartą tęsknotę za silnym mężczyzną. Zdawało się, jakby delikatne kwiecie natury, straciwszy swe soki, usychało — mimo ciągłych ablucji i wonnych kąpieli — trawione wewnętrznym ogniem; marząc o wodzie, co gasi do cna najżarliwsze pragnienie; o mleku, co wytryskuje z fontanny męskości. W ten sposób na kilka dni każdego miesiąca szkarłatny ów demon opętywał ją, rzucając na pastwę męskiej chuci, przygotowując nieledwie o obłąd z tęsknoty do pieścizot, dla których została była przecie stworzona. Całkiem być może, iż zakosztowawszy raz do syta tej nieznanej rozkoszy, straciłaby dlań zaraz całe zainteresowanie, abstynencja wszakże wprawiła ją w stan niemal histeryczny. Teraz właśnie natura rozbudziła w niej chorobliwą namiętność, niecierpliwe pragnienie, by doznawać pieścizot od płci przeciwnej; dlatego też, gdy stanąwszy w oknie dojrzała młodzieńca tak pełnego męskiego wigoru, wijącego się — zaiste tak było — w spazmach chuci, palącego

się, by ugasić ten trawiący wnętrzości ogień, uczuła, iż pcha ją ku niemu jakaś nieprzeparta siła; przypominała w tej chwili usychającą roślinę, co — omdlewając w promieniach skwarne słońca — chyli się ku ziemi, by choćby chłonać zaledwie ulatniające się z niej wilgotne pary.

Naraz, patrząc nań, doznała dziwnego uczucia. Ta twarz — pomyślała — nie jest obca; czuła już przecie kiedyś bijący od niej mistyczny czar. Ale gdzie i kiedy?

Owszem, więcej jeszcze, znała także to ciało w całej jego nagiej wspaniałości. Na tę myśl policzki jej oblał rumieniec, nigdy dotąd nie widziała bowiem nagiego mężczyzny. Ścisnąwszy rękoma skronie przetrząsała najgłębsze zakątki pamięci. Gdzież to spotkać mogła wcześniej owego młodzieńca?

Byłóż to może w poprzednim wcieleniu, w jakichś pozaziemskich sferach?

Nie potrafiła rozeznaczyć, miała wszakże pewność, iż kiedyś już go kochała; że była mu raz już poślubioną, w szczęśliwszym, piękniejszym świecie, w krainie świętych i męczenników.

Wpatrując się weń uporczywie była, z każdą chwilą, coraz bardziej oczarowana. Naraz oczy ich się spotkały i jakkolwiek on — leżąc w blasku złocistych promieni słońca — nie mógł widzieć jej stojącej w oknie bardziej niż do połowy przysłoniętym okiennicami, atoli spojrzenia, jakie rzucał w jej stronę, zdawały się przebijać źrenice sięgając głębiej jeszcze, aż do mózgu.

Cóż to działo się z nią? Byłże to wirus jakiś nagłej sympatii?

Krew jej stawała się coraz gorętsza, wreszcie zawrzała; dziewczyna czuła, że traci głowę.

Azaliż była to miłość? Tego wiedzieć nie mogła, czuła jedynie, że serce bije szybciej i mocniej niż zwykle i że drży każdy nerw jej ciała.

Utkwiła oczy w młodzieńcu, który pochłonał bez reszty jej uwagę; wyostrzył się nagle jej wzrok,

słuch, wszystkie zmysły, wprowadzone nadmierną koncentracją w stan hy per wrażliwości. Widzi, jak wargi jego pęcznieją, a potem rozchylają się, niby pod wpływem nieprzepartej jakiejś tęsknoty. Czuje niemal na swej twarzy jego gorący, urywany oddech. Naraz zauważa, że coś porusza spodnie od środka, w okolicy podbrzusza; tak, wyraźnie raz po raz napinają się powoli, to znów szarpie nimi jakiś ruch gwałtowny i niecierpliwy. Na ten widok ogarnia ją obezwładniająca żądza, czuje się niczym ów chromy biedak, co leżąc u brzegu Betesdy, wpatruje się w fale poruszanej ręką niewidzialnego anioła życiodajnej wody. Widziała, jak pękają spodnie i jak maleńki ślepy bożek miłości ukazuje w miejscu rozprucia swe rumiane oblicze. Jeszcze chwila, a wyżej wspomniany organ wyskoczyłby ze spodni w całej swej krasie, w sam czas jednak młodzieniec, schwyciwszy go mocno ręką, wcisnął z powrotem do środka. Potężny ów instrument zdawał się, pod szorstką materią spodni, mieć jakąś stopę długości i kilka cali szerokości. Na ten .widok przed oczyma dziewczyny mignęła błyskawica, krew pulsować poczęła w dół-w górę,



w dół-w górę w całym ciele, atoli zdawało się, jakby schła nagle w żyłach albo jakby zmieszana była z jakąś substancją żrącą, która zatruwała i mąciła umysł. Naraz, ku swemu rozczarowaniu, ujrzała, że boleć znika w uścisku ręki młodzieńca, spostrzegła, jak w tej samej chwili wstrząsnęły nim dreszcze, widziała rozchylone tęsknie wargi, nieprzytomne wejrzenie na wpół zamkniętych oczu, zauważyła urywany dyszący oddech. Sycąc głodny wzrok widokiem młodzieńca, odczuwała i ona wszystkie owe doznania, które były jego udziałem. Uczuła przeto w łonie płomienny żar, rozlewający się po całym podbrzuszu. Maleńkie wargi rozwarły się w dziwnej tęsknocie. Naraz, nie wiedząc zda się sama, co czyni, rzekłbyś, pchnięta instynktem naśladowczym, czy też może posłuszna rozkazom natury, podniósłszy suknię przytknęła czubek cienkiego paluszka do szczytu bruzdy u stóp wulkanicznej góry Wenus i, miast pocierać, muskać ją ledwie swe czułe miejsce. Dotknąwszy go, doznała tego samego uczucia, które wstrząsnęło ciałem młodzieńca w chwili, gdy wargi jego fallusa rozchyliły się roniąc perlistą kropelkę kremowej śmietanki rozkoszy. Dusze obojga uleciały tedy z ciał w jednym, zda się, momencie, by połączyć się w niebiańskim uścisku. Atoli palący ich trzewia ogień wzmógł się tylko; chwilowa przyjemność — nie, ból raczej niżli przyjemność — miast zaspokoić cielesny głód podsycała jedynie ich męki. Gorączka trawiła oboje jeszcze przez czas jakiś. Młodzieniec nie zdołał dobrze wrócić do przytomności, gdy, otworzywszy oczy, ujrzał

wybiegającego z domu naprzeciwko dużego białego pudła.

Był to zaiste pies pokaźnych rozmiarów, o sierści przystrzyżonej, miejscami wręcz wygolonej do gołej skóry o delikatnie różowawym odcieniu, niczym u noworodka, cętkowany cały jak spieczona słońcem dziewczęca buzia. Grzywka, frędzle na łapach i kitka ogona — wszystko białe jak nić bawełny — były starannie wyczesane, ufryzowane i wypachnione *lave-nde-ambróe*. Ten głupawy niewydarzony lewek, ten obrzydły pedzio, ten pieszczoł starych panien, miał upiętą na czubku głowy — zupełnie jakby chciano przydać mu jeszcze śmieszności — wielką błękitną jedwabną kokardę.

Zbliżywszy się do młodzieńca, stanął na tylnych łapach i począł wyczyniać przeróżne figle; młodzik zrazu śmiał się, potem jednak popadł w zadumę uznawszy, iż taki pudel, gdyby go odpowiednio wyszkolić, mógłby się przecie na coś przydać. Leżący u boku młodzieńca kundel odgadł widocznie jego myśli, bo — jako że nie był najlepiej wychowany — obnażył małe białe ząbki i zawarczał złowrogo. Pudel, nie zrażony, kontynuował popis wdzięków, prezentując przy tym z jednej strony fiuta w stanie erekcji, z drugiej zaś rozwartą brązową dziurkę anusa, obrzeżoną niewielką spuchlizną. Kundel wszakże nieczuły zdawał się na wszelkie pokusy. Pudel skakać tedy począł dokoła wydając dziwne sapiące szczeknięcia; udawał, że gdzieś biegnie, to znów wracał, a cały czas rzucał zalotne spojrzenia wielkich mądrych brązowych ślepiów w kierunku organu swego nowego przyjaciela.

Wreszcie, najwidoczniej nie mogąc się dłużej powstrzymać, wetknął odważnie łeb pod ogon kundla i — nie zważając na ryzyko ataku ze strony ostrych białych zębów — obwąchiwać począł miejsca, które wydawały mu się tak niezmiernie ponętne. Kundel nie przestawał warczeć i mruzczyć, w końcu wszakże podniósł jedną łapę na znak łaskawego przyzwolenia. Zachęcony w ten sposób pudel jął lizać z zapalem przypominający owoc pieprzowca czubek penisa. Kundel przestał nareszcie warczeć, zezwalając na pieszczotę z wyrazem wzgardy i umiarkowanej przyjemności. Pudel zaprzestał lizania i zaczął znów podskakiwać wokół tamtego kokieteryjnie, wydając przy tym z siebie piskliwe szczeknięcia. Podniecony tym kundel skoczył naraz i dopadł od tyłu lubieżne zwierzę, stojące już w pełnej gotowości, by go przyjąć. Ścisnąwszy mu mocno przednimi łapami tułów, bez dalszych ceregieli zabrał się energicznie do rzeczy.

Poddając się ulegle napaści pudel zdawał się czynić to jakby z obowiązku; rozglądał się cały czas swymi wielkimi, błyszczącymi, zdziwionymi ślepiami, wyrzucając sobie w duchu, że pozwala temu brzydkiemu, sparszywialemu, cuchnącemu kundlowi wykorzystywać się w sposób tak niegodziwy. Byłaż to przyjemność dla niego? konieczność? czy też poddawał się po prostu wyrokowi swego losu? Dlaczego wszystkie pudle są istotami tak pasywnymi?

Gdybym wierzył w reinkarnację, uznałbym zapewne, iż to dusze pederastów skazywane są za karę na zamieszkiwanie ciała psów tej rasy, tak by używać mógł sobie na nich do woli pierwszy lepszy kundel.

Wracając jednak do tematu: kiedy wytworny nasz pudelek rżnięty był w sposób tak bezceremonialny, smagły młody człowiek podniósł wzrok i — jako że okiennice otwarły się nieco szerzej — ujrzał stojące w oknie piękne dziewczę.

Ich oczy spotkały się. Po kilku sekundach dziewczyna poczuła, że jego spojrzenia, niczym załamujące się promienie światła, zapadają głęboko w jej pierś. Stała jakby przykuta do miejsca, nie mogąc ani się ruszyć, ani odwrócić głowy. I kiedy tak trwała w oknie — z oczyma utkwionymi w młodzieńcu — poczęła ją ogarniać dziwna senność; jednocześnie pomału, bezwiednie, traciła własną wolę.

Zdawało się, jakby ulatywała z niej wabiona żarem jego spojrzeń, tak jak z łona rozgrzanej ziemi ulatuje ku słońcu mgiełka. Raz czy dwa razy młodzieniec uniósł lekko w górę ramiona i powoli je opuszczał, a wówczas senność nasilała się, dziewczyna coraz bardziej traciła kontrolę nad sobą i z każdą chwilą miał nad nią coraz większą władzę. Zdawało się, jakby ciągnął ją ku sobie z całej swej mocy, dlatego też, posłuszna jego wezwaniu, wychylała się ponad parapetem okiennym coraz bardziej do przodu. Śpiączka wszakże zmoęła ją nareszcie i po chwili spała już snem kamiennym. Atoli nie był to sen właściwie, gdyż, jakkolwiek jej ciało popadło w stan doskonałego letargu, umysł mia-

ła całkiem trzeźwy — a jakże, jej zmysły wyostrzyły się i czulsze były niż zazwyczaj; słyszała bowiem jego głos, szeptający melodyjnie te oto słowa:

Kiedy miasto ścichnie, zmilknie, pogrążone w nocnym śnie, ty, powolna mym wewaniom, sercu, co miłością tchnie, będziesz czuć na swoich wargach mych całunków ciepły deszcz. Usłysz, usłysz me wołanie, wzywam cię, zbudź się ze snu! Gdy ockniesz się, ukochana, z rozkoszy zbraknie ci tchu.

Wonczas wślizgnę się w twe łożę — a twym ciałem wstrząśnie dreszcz.

Dziewczę spało wciąż, wsłuchując się, jak w transie, w wysyłane ku niej myśli, które dźwięczały w uszach melodią pieśni żałobnej, czy raczej kołyszącej do ostatniego snu kołysanki. Z każdą chwilą gęstniała sieć snu, tępał umysł; wreszcie owładnęło ją beczucie i zapomnienie.

Czy spała długo? Nie wiedziała sama.

Wyrwała ją z transu ciotka — właścicielka pudła — która, wszedłszy do pokoju, zawołała ją po imieniu i klepnęła leciutko w plecy.

— Cóż, Kamillo, czyżbyś zasnęła? — rzekła.

Dziewczyna wzdrygnęła się i otworzyła oczy; ujrzała wszelako jedynie oślepiające ją jaskrawe światło słońca. Dopiero po chwili rozejrzała się wokół zdumiona.

Tak, najwidoczniej nie tylko zasnęła, ale nawet śniła, pudel stał bowiem przy niej na tylnych łapkach i — jak to miał w zwyczaju — przekrzywiwszy głowę patrzył na nią wielkimi brązowymi, ludzkimi niemal ślepiami, z włochatej zaś pochewki wystawał — podobny szpiczastemu czubkowi czerwonej papryki — koniuszek penisa.

Bez wątpienia, pomyślało dziewczę, sen to był; potem drząc — nie widziana przez ciotkę — gorliwie

się przeżegnała. Rzuciła szybkie trwożliwe spojrzenie ku oknu i z piersi jej dobyło się głębokie westchnienie ulgi. Na placu przed oknem nie było nikogo i nic, z wyjątkiem okrytej brezentową płachtą karuzeli.

Zdrzemnęłam się w tej spiekocie — pomyślała w duchu — i przyśnił mi się mężczyzna i szczeniak. — Ubierz się, a rychło — rzuciła starsza pani opuszczając pokój. — Zamierzam, przed pójściem na nieszpory, odwiedzić wdowę po generale: muszę wypytać, czy jej szwagierki siostrzenicy córka zaręczyła się już, czy też nie.

Ten dzień upłynął Kamilli jak wiele innych, była może tylko nieco bardziej zamyślona niż zwykle, nieco bardziej nerwowa i roztargniona.

Kamilla była sierotą — ojciec umarł zaraz po jej drugich urodzinach, matka w dwa lata później; wychowywała ją więc starszawa ciotka, siostra ojca, osoba dość zasadnicza.

Poszły tego dnia do katedry, miast, jak to zwykły czynić popołudniami — do kościoła świętego Sebastiana; wróciwszy do domu wypily po filiżance gorącej czekolady, Kamilla czytała ciotce na głos, potem grała na stojącym na wrzecionowatych nogach szpinecie; wieczorem zaś — gdy na zegarze wybiła siódma — drzwi otwały się i wszedł jej kuzyn Des Grieux. O ósmej zjedli razem kolację; o dziewiątej młodzi grali z ciotką w karty — ta niezmiennie

wygrywała, wyśmiewając się z siostrzeńca i siostrzenicy za ich brak szczęścia; kiedy wybiło wpół do dziesiątej, kuzyn podniósł się, przycisnął wargi do ręki ciotki, cmoknął kuzynkę w usta i wyszedł. Des Grieux był bladym delikatnym młodzieńcem. Poza tym nie odznaczał się niczym szczególnym, wyjąwszy może jego nienaganną czystość. Twarz, szyja i uszy wyglądały, jakby wymył je starannie mydłem, następnie splukał dużą ilością wody — rzecz w tych czasach nader rzadko spotykana. Syfilis wcześniejszych pokoleń odezwał się u niego przezroczystą cerą niczym u woskowej lalki, której kolory spełzły były od zbyt częstego mycia. Na jego porządnie wyczyszczonym ubraniu nie można było znaleźć najmniejszej skazy, najdrobniejszej nawet plamki brudu; ponadto woniało od niego zawsze świeżym praniem, czystą bielizną i słodką lawendą.

Gdy tylko kuzyn wyszedł, starsza pani i młoda dziewczyna potarły się policzkami — w ten sposób całują się we Francji kobiety — i udały każda do swego pokoju, w miasteczku wszak kładziono się do snu wcześniej. O pół do dziesiątej dom cały spał snem kamiennym.

Kamilla, położywszy się, czuwała jeszcze przez czas jakiś w stanie nerwowego wyczerpania. Potem powieki ciężać zaczęły jej coraz' bardziej, wreszcie na kilka krótkich chwil zapadła w półdrzemkę. Ledwo jednak zdołała zasnąć, gdy zerwała się w środku snu zdjeta niejasną trwogą, że dostać może się w ręce młodzieńca, który wprzód rzucił był na nią

urok. Po pewnym czasie wszakże lęki uspokoiły się, zmysły stępały i, około północy, zasnęła wreszcie głębokim twardym snem. Na chwilę przed tym, jak rozległy się dzwony, usłyszała, jakby we śnie, cichą, żalną melodię; było to coś jak powtarzana w nieskończoność muzyczna kadencja, wznosząca się i opadająca niczym morską falą; wsłuchując się w te dźwięki, doznała złudzenia, że widzi matkę, jak, pochylając się nad jej kołyską, śpiewa i tuli ją do snu.

Jakże cudnie wyglądała leżąc tak bez ruchu, zda się pozbawiona życia. Jako że noc była gorąca, odrzuciła okrycie i piękne jej ciało przysłaniała zaledwie cieniuchna batystowa koszulka, pozostawiając jej nagość tu i ówdzie odkrytą.

Arabowie, Turcy i wszelkie narody Wschodu porównywali zawsze piękno kobiety do pełni księżyca, zaiste powabne ciało naszego dziewczęcia było miejscami tak perłowobiałe, gdzie indziej tak bladoszare, iż muśnięte jeszcze tu i tam odcieniem lekkiego różu, to znów niebieskawym, przypominało swą opalową mlecznością łagodne, aksamitne światło księżyca pory sianokosów i, jak ono, zdawało się mienić wszystkimi barwami tęczy.

Była bardzo młoda — miała lat niespełna szesnaście — i, mimo ich rozłożystości, członki jej nie nabrały jeszcze kobiecej krągłości.

O tym, że była ledwie pączkiem kwiatu, świadczyć mogły maleńkie, sterczące zaczątki piersi i porastający rzadziuchno okolicę skrytych między udami klejnotów jedwabisty złotawy meszek. Była też w niej owa szczególna lekka cierpkość owocu, co nie osiągnął jeszcze soczys-



tej dojrzałości. Na taki widok czuło się odruchową wilgoć w ustach — tudzież gdzie indziej.

Gdy zegar skończył wybijać dwunastą, dziewczę zerwało się nagle i usiadło na łóżku.

Gdzież to ona była? Rozejrzała się dokoła zdumiona. Leżała przecie na swym łóżku w swym własnym pokoju.

Ale kto ją wołał? Wszak bez wątpienia czyjś głos obudził ją przed chwilą ze snu. Na czyjeż to stawić się miała wezwanie? Dlaczego przerwano jej w połowie sen tak rozkoszny?

Azaliż rzeczywiście wołano ją? Tak, głos ów dźwięczał przecie wciąż jeszcze w jej uszach. Zaczęła wsłuchiwać się i usłyszała niesioną gdzieś z dala pieśń żałobnej podobną melodię; byłże to głos człowieka czy szum morskiej fali, szepczącej piaszczystemu brzegowi słowa miłości? i

Zanurzyła palce w falistych złotych włosach, • zapytując się, czy to sen czy jawa. Słuchała, dalej, a pieśń stawała się coraz głośniejsza i bliższa, aż zdało jej się, iż dobiega tuż spod samych okien. Głos wzywał ją, na nic zdałby się opór, musiała iść, ale dokąd?

Rozległ się cichy szmer, ona nic nie słyszała, drzwi się otwały, nic nie zauważyła. W jednej chwili śpiący dotąd w pokoju ciotki pudel stanął przy niej na tylnych łapach, oblizując się, merdając ogonem, wlepiając w nią pożądlive, zdziwione, pytające ślepia.

Nie dostrzegła go.

Nagle poczuła się, jakby stała w potężnym przeciągu albo pod prąd rwącego strumienia. Poddała się, wstała z łóżka. Koszula, której

wstążki jakby same się rozwiązały, zsunęła się z niej na ziemię. Pudel — wciąż na tylnych łapkach — przystąpił do niej, fiut zeszywniał mu i spęczniał, a obrzęknięty szpiczasty koniuszek sterczał w górę jak maleńki czerwony wężyk.

Dziewczyna wpatrywała się w przestrzeń przed sobą rozszerzonymi oczyma, niczego najwyraźniej nie widząc.

Pudel objął ją w pasie przednimi łapami, mocno ścisnął i rozpoczął rytmiczne ruchy w przód i w tył, próbując przy tym wyraźnie przygiąć ją ku dołowi lub też samemu dźwignąć się nieco, tak by dosięgnąć penisem jej szparki. Chciała krzyknąć, ale głos uwiązł jej w gardle; wyciągnęła przed siebie ręce broniąc się; w końcu zdołała zepchnąć z siebie obmierzłe stworzenie.

Cóż to sprawiło, że pudel przyszedł tego wieczora do jej pokoju, dopuszczając się próby gwałtu?

Byłóż może między nimi jakieś zwierzęce powinowactwo?

Pies, zbity z tropu, na moment dał za wygraną. W tejże chwili ona, dotykając ciała, uświadomiła sobie swą nagość; schyliła się, znalazła u stóp koszulę i wciągnęła ją. Pies tymczasem wrócił ukradkiem, wsunął puszysty łeb pod batyst i, wcisnąwszy pysk między uda, jął całą szerokością szorstkiego języka lizać z zapalem jej krocze. Był w tej sprośnej gierce ekspertem, przeto, kierując się instynktem lub też nabytą wiedzą, sięgnął językiem szczytu bruzdy i począł leciutko drażnić dziewczącą łechtaczkę, która, pobudzona delikatną pieścizotą,

nagle jakby ożyła. Jakkolwiek wrażenie nie było bynajmniej niemiłym, a łaskotanie przejmowało całe ciało dreszczem, tak ohydny był jej dotyk zwierzęcia, iż odepchnęła je od siebie drżąc z obrzydzenia.

Pudel stanął znów na dwóch łapach przyglądając się dziewczynie w osłupieniu, zdawał się pytać, czego chce właściwie; wtem skakać zaczął, merdając ogonem, jakby chciał ją zaprosić, by poszła za nim. Zarzuciła pośpiesznie szlafrok, wsunęła pantofle i stanęła nieprzytomna jak w transie, chwiejąc się pchana to w przód, to w tył jakąś niewidzialną siłą.

Pieśń, ustawszy pierwej, rozbrzmiała znowu, głośniej teraz i z większym jakby natężeniem.

Dziewczyna ruszyła w transie przed siebie, za nią pudel tańcząc, podskakując radośnie, merdając ogonem, podniecony niczym ogar na widok pana sięgającego po strzelbę.

Dziewczyna bezgłośnie przemknęła przez pokój i na dół po schodach, nie potykając się, bez trudu odnajdując stopnie, zupełnie jakby to dzień był i świeciło słońce. Dotarła do prowadzących na podwórze drzwi, zręcznie przekręciła tkwiący w zamku klucz i odryglowała, następnie wyszła na zewnątrz, a tuż za nią pies.

Noc była czarna i duszna, niebo pokrywała, masa sunących tuż nad ziemią z wolna chmur, powietrze brzmienne było elektrycznością.

Dziewczę, w swej przejrzystej szacie, z hiacyntowym włosem, opalizującą karnacją, zdawało się świecić w ciemności fosforyzującym blaskiem.

U progu drzwi stał mężczyzna; rozpoznała w nim młodzieńca od karuzeli. Na jej widok wydał zdławiony okrzyk, wyciągnął ramiona, przytulił ją do piersi. Przycisnął płonące usta do jej zimnych, omdlewających warg i całował, całował namiętnie. Minęło kilka sekund.

— Chodź ze mną —"rzekł do niej. —Tutaj mogą nas zauważyć; pójdź pod mój namiot.

Nie wzbraniała się, prowadził ją jak bezwolne ciało, jak dziecko, nienawykłe samo o sobie stanowić. Stanęli u wniścicia do namiotu, wciągnął ją za sobą, a gdy byli już w środku, przybliżył jej twarz do swej twarzy i raz jeszcze żarliwie ją ucałował.

— Kochasz mnie — ozwał się. — Czyż nie?

— Tak — odrzekła bezwiednie.

— I rada jesteś, że do mnie przychodzisz?

— Tak, przecie wzywałeś mnie.

— Przyszłaś dlatego tylko, że cię wzywałem?

— Tak.

Młodzieniec zdawał się zdziwiony wielce swą nad nią władzą, mniemał bowiem, iż wywiodła ją była z domu własna żądza raczej niż jego magnetyczna siła. Nie zdawał sobie sprawy, że sprzymierzeńcem był mu wówczas szczęśliwy zbieg wypadków; jego czar, kilka dni później, mógłby okazać się całkiem nieskutecznym.

— A gdybym cię nie był wołał, czy przyszłabyś?

— Nie.

— Co robiłaś, gdy dobiegł cię mój głos?

— Co? Nie wiem.

— Spróbuj sobie przypomnieć. Po krótkiej pauzie:

— Spałam.

— Słyszałaś więc głos mój we śnie?

— Tak.

— I jutro usłyszysz znowu?

— Tak.

— Pocałuj mnie.

Zawahała się chwilę, potem zbliżyła ku niemu swe pełne wargi, lecz pocałunek jej tak był zimny, jakby nie czuła nic zgoła.

— Nie tak chłodno.

Posłuchała go i zaraz w żyłach jej tętnić poczęła świeżo zbudzona żądza, wkrótce przeto przywarła ustami do jego warg, a oddech jej stał się ciężki i przyśpieszony. Kiedy wszakże próbował wsunąć jej w usta koniuszek języka, zbuntowała się — w swej dziewiczej skromności — przeciw takiemu aktowi rozpusty.

Wstrzymał się tedy na moment i jął słać jej telepatyczne nakazy, by stała mu się powolną.

A oto, co myślał:

Rozchyl swe usteczka słodkie, pozwól mu, niech wślizgnie się, niech go wsunę leciuteńko sącząc rozkosz w wargi twe. Pieść mój język usty swymi, co jak płatki róży dwa, delikatne jak aksamit, wilgotne jak ranna mgła. Czujesz, jak wysusza krew twą? Jak do podniebienia lgnie? Jego smak słodszy od miodu, co go pszczoła z kwiatu ssie. Słodszy niż dojrzały owoc, gładszy niż banana miąższ: chceszli płonąć, ukochana? Ciągnij mocniej, mocniej wciąż. Jako z sutka głodne dziecko wysij soki zeń do cna; gryź go, tul go, ściskaj, ściskaj, spraw, bym z pożądania mdlał.

Dziewczyna słyszała najwidoczniej te myśli,

natychmiast bowiem przystąpiła do wykonania rozkazów; i zaraz od rozkoszy zdała się tracić zmysły. Skłoniwszy ją tedy do ssania jego dolnej wargi, muskularnymi członkami jął ocierać się o jej delikatne ciało.

Jakiż był między nimi kontrast! On, czarnowłosa, smagły, o członkach jak ze stali i całym ciele drgającym od mięśni; ona przypominała chylącą się od podmuchu najłżejszego wiatru trzcinkę, kwiat cieplarniany, co usycha w zbytym gorącu, więdnie pod dotknięciem dłoni. Szczupłe alabastrowe ramiona opłotły potężną jak u byka szyję; drobne cienkie paluszki zanurzyły się w czarnych jak sadza kędziarach. Naraz, trzymając w uścisku jej delikatny przegub, wsunął dłoń pod sukienkę i jął przesuwając ją po łydkach i udach, wreszcie schwycił drobne wargi jej maleńkiej szparki. Czując jego dotyk zadrżała i całe jej ciało falować poczęło niczym morskie wody. Potem, gdy lubieżnie wysunięty palec wnikać próbował w jej soczystą miękkość, poczęła dygotać i wić się w jego ramionach jak zraniony ptaszek, daremnie próbując go od siebie odepchnąć. Lecz silne masywne ramię — potężne niczym noga siłacza — trzymało ją przyciśniętą mocno do jego drżącego ciała; utkwili swe czarne jak węgle oczy w jej oczach, a spojrzenie tych wielkich błyszczących źrenic było jak żar iskier spadających na miękki wosk, by się weń wtopić. Czując się we władzy tej nieugiętej woli zastygła w bezruchu. Wtedy począł jej szeptać te słowa:

Moje ciało pragnie twego ciała. Jako ziemia schnie dla braku deszczu, kwiaty z braku rosy,

tak ja uschnę bez twojej miłości. Serce wali z dzikiej rozkoszy, miłości, pożądania; zbudź się, ach, zbudź z drzemki, ukochana; niech ciało twe chętne, gorące stopi się z moim w jedno.

Wysłuchawszy go dziewczyna nie tylko stała spokojnie, pozwalając mu dotykać się do woli, ale przywarła ustami do jego rozchylonych warg, spijając z nich oddech. Co więcej, rozchyliła uda, zezwalając palcom jego penetrować swe intymne miejsca, a gdy pieścił ją tam delikatnie, wydawała z siebie ciche pomruki i jęki rozkoszy. Kiedy się tak z nią zabawiał gładząc brzeg jej warg, przesuwał ręką po udach, po niewielkich wypukłościach tylnych części ciała, szpikulec jego stanął na baczność, twardy i wielki. Wziął wówczas drobną, delikatną, miękką dłoń dziewczyny i wetknął go w nią. Gdy go poczuła, odskoczyła gwałtownie, przerażona, jakby zbudziła się ze snu koszmarnego, w którym dzierżyła w dłoni żmiję czy też ohydny ropuchę; jego ramię wszakże, przyciągnąwszy ją z powrotem, przycisnęło mocno do ciała, czarne zaś źrenice przeszywać jeły znów jej mózg swym mesmerycznym ogniem. Przeto raz jeszcze poddała mu się z pokorą, ujęła w dłoń jego prącie, pieściła je i, muskając palcami jądra — tak delikatnie, jakby owiewał je leciutki wietrzyk — wywoływała rozkoszne Ja-, skotanie.

Nie miała już zgoła własnej woli, była jedynie lustrzanym odbiciem jego doznań. By ostatecznie dowieść swej mocy, zrzucił obdartą koszulę i spodnie i stanął przed nią nagi. Położywszy ręce na jej ramionach leciutko pchnął ją ku

niemu; uległa klękając przed nim. Wówczas podsunął jej do ust zadarty, mięsisty, podobny ziarnku fasoli czubek fallusa i ssać poczęła go z taką lubością, jakby w ustach miała najdelikatniejszy paryski kandyzowany owoc.

Atoli wkrótce podniósł ją i zdarłszy z niej całe odzienie położył na twardym brudnym sienniku; i znów całował ją w usta, pieścił, przyciskał do piersi i raptem od chuci tętniącej w jego żyłach zajęła się i jej krew — i leżeli obok siebie, czując w całym ciele mrowiące pragnienie, owładnięci nagłym szaleństwem zmysłów. Rozwarł szeroko jej uda i, ułożywszy się między nimi, ujął w dłoń prącie i wycelował nim w rozwartą bruzdę. Potem, przeżegnawszy się gorliwie trzy razy, prosząc błogosławieństwa u Najświętszej Dziewicy, natarł na nią z całej mocy.

Czekała go wszakże ciężka próba. Szparka dziewczęcia okazała się nader wąską, jego zaś instrument nazbyt wybijał, wszystko więc, co zdołał uczynić, to wsunąć w nią żołędź i pocierać o jej cieniutkie wargi. Mimo iż silny był niczym zapaśnik, a taran jego najtwardszy i najpotężniejszy, jaki mógłbyś spotkać, nie przedarł się przez wały ochronne dziewictwa, zdoławszy przecie wystrzelić z działa prosto w jej łono. Kiedy tylko strzyknął nasieniem, napięcie opadło i opadł na nią bez czucia; szparka rozwarła się odrobinę, ale bezcenna perła pozostała nienaruszona — nie pomógł nawet ów ostatni naj-zacięty atak.

Po krótkiej chwili odpoczynku podjąć zamierzał właśnie kolejną próbę, zauważywszy nagle, że niebo rozjaśniły bladuszafranowym



światłem pierwsze blaski jutrzeńki. Nakazał przeto dziewczęciu wstać i spieszyć do domu. Podniosła się z posłania, wdziała koszulkę i szlafrok i — wciąż w transie — pomknęła do domu, cichutko wślizgnęła się do sypialni i położywszy do łóżka beztróska zasnęła. Gdy nazajutrz zbudziła się o zwykłej porze, nocne przygody wydały jej się przedziwną senną marą.

2

Rankiem dziewczę zbudziło się, tak jak każdy z nas budzi się po jednej z tych dziwnych, niespokojnych, trwożliwych nocy, kiedy prześladują nas senne koszmary. Była wciąż jeszcze na wpół uśpiona, czuła przeto słabość, przygnębienie, lekkie rozdrażnienie, nic wszakże ponadto. Głowa pękała jej od tępego bólu, ciało omdlewało, myśli mieszały się, gubiły — nic ponadto. Rzucała się na posłaniu między snem i jawą, niezdolna rozbudzić się w pełni, niezdolna zasnąć, próbując odzyskać przytomność umysłu.

Zrazu zaniepokoiła ją wpadająca do pokoju jasna struga światła; zadawała sobie pytanie, jakże to być może, iż okiennice pozostały na noc otwarte? Wieczorem były przecie zamknięte — lub, co najwyżej, ledwo uchylone.

W somnambulizmie — tak zresztą jak w życiu — każda myśl przywodzi następną, każde wspomnienie następnego wspomnienia. Życie jest łańcuchem wielu ogniw; cierpliwą wytrwałością złożysz je — niczym owe indiańskie pierścienie-

nie — tak by pasowały do siebie tworząc jedną całość. Jest jak ta zabawa, w której udział bierze dziesięć, dwadzieścia osób, powtarzających sobie kolejno jedno zdanie, aż dotrze ono wreszcie do ostatnich uszu całkiem zmienione co do słów i treści.

Gdy spojrzała w otwarte okno, złociste promienie oślepiły ją, aż zmrużyć musiała oczy a rama okienna wydała jej się ramą ołtarzowego obrazu, i ujrzała w roziskrzonym, połyskującym świetle cudowną postać świętego, który — cały-rni dniami, nie, całymi miesiącami — nawiedzał jej podświadomość, w ten sam sposób, jak ukazywali się Joannie d'Arc święty Jerzy i święty Dionizy i, jak zdarzało się w przypadku świętych cierpiących na historyczne halucynacje ujrzała Sebastiana tak wyraźnie, jakby zaprawdę objawił jej się w swej cielesnej postaci.

Wpatrując się w ów błogi widok zauważyła nagle w męczenniku podobieństwo do włóczęgi zobaczyła także, iż wstrząsa nim dreszcz i ciężko, zmysłowo dyszy.

Na muskularnym, gładkim ciele nie było siadu rany, co więcej, zniknął opasujący biodra wąski skrawek materii, prawa zaś ręka dzierżyła owo kropidło do święconej wody, w które wyposażyła go była dość hojnie szczodra natura, i potrząsał nim lubieżnie, a na twarzy' jego malowała się przy tym zaiste niebiańska rozkosz.

Czy to na sam widok przedziwnego, podobnego indyczemu podgardlu męskiego przydatku, czy też przez wzgląd na dziwaczny sposób w jaki się nim święty zabawiał — widziała

kiedyś podobnie sobie poczynającą małpę w cyrku — czy może sprawiło to jego porozumiewawcze mrugnięcie; dość, że leżąc na posłaniu zadrżała naraz od stóp do głów. Co więcej, owo mrowiące uczucie żarliwego pragnienia przybrało największe natężenie w samym centrum tego typu doznań, mówiąc językiem medycznym w miejscu „przerwania ciągłości”. Pałący ją w miejscu tym płomień spłoszył najwidoczniej świętego, zamiast bowiem obrazu ujrzała znów jedynie szeroko otwarte okno i blask zalewającej pokój powodzi ранego światła.

Ale cóż to za dziwne uczucie doznawała w miejscu, gdzie rozchodziły się uda? Na pewno nie nazwałaby tego przyjemnością; o nie, był to raczej dotkliwy tępy ból, jak od świeżo zadanej rany. Dotknęła ręką rozwartej szczeliny. Była wilgotna, nie, więcej niż wilgotna, była mokra, i do tego krwawiła.

Czyżby to zaczęła się znów miesięczna niedyspozycja? Myślała, myślała, obrazy przesuwwały się przed oczami jak dnia poprzedniego, jeden za drugim, i wreszcie, kawałek po kawałku, zdołała zrekonstruować wypadki ostatniej nocy, i przypomniała sobie, w jaki sposób straciła była kwiat czystości. W przerażeniu zerwała się z posłania. Potłuczona, poobijana, badać poczęła z rozpaczą i przygnębieniem swoje łóżko. Plama krwi, ślad spermy, pognieciona, wymięta pościel nie pozostawiała wątpliwości, co wydarzyło się w nocy.

Nie sen to był zatem, nie nocna mara, ale ponura brutalna rzeczywistość, i niewątpliwie

nie święty, lecz zwykły grzesznik spał tej nocy w jej łożu.

Ze łzami przerażenia w oczach uznać musiała tę straszliwą prawdę.

Nie była już dziewicą, lecz — ach, jakież słowo jest straszne dostatecznie, by wyrazić, czym teraz była?

Ktoś ją zniewolił, posiadał, pozbawił dziewictwa. Mężczyzna — zwykły włóczęga — miał ją, całował, zabawiał się, używał sobie do woli; wepchnął w nią swój szpikulec rozpoławiając ją i tak kres położył jej niewinności. Stała się więc igraszką mężczyzny, nie będąc żoną, a na dodatek, cóż to był za mężczyzna!

Jakiż czeka ją teraz życie?

Poczuła mdłości, zawrót głowy, ciałem wstrząsnęły spazmatyczne drgawki. Serce ustało zrazu, potem bić zaczęło jak oszalałe. Wydało jej się, jakby za gardło schwyciła ją jakaś ręka, nie, szpon raczej, próbując dusić. Ledwie mogła oddychać. Wkrótce wszystko przeszło i pojawił się palący ból w trzewiach — tak silny, iż wiła się w męczarniach.

Ale czyż z własnej winy uczyniła to, co uczyniła?

Wtem osunęła się, klękając na ziemi nagimi kolanami i próbując się modlić. A gdyby miała tę wiarę, co przenosi góry, czy wówczas Bóg, Chrystus, Najświętsza Dziewica, nie zlitowaliby się, czyniąc dla niej cud, nie odwrócili tego, co się stało?

Modląc się z całego serca poczuła, że ma taką wiarę, plama krwi nie chciała wszakże zniknąć, nie czuła też w sobie w środku żadnej zmiany.

I czy — mimo iż wzięto ją wbrew woli — będzie musiała znosić zniewagi świata, jeśli historia jej wyjdzie na jaw? Czyż wytrzyma tę hańbę, ona, powszechnie znana ze swej dumy, swej nieprzystępności, ona, należąca przecie do jednej z najstarszych, najszacowniejszych rodzin w mieście? Ale, być może, jej wina — jej bezgrzeszna wina — mogłaby pozostać tajemnicą; zobaczy się raz jeszcze ze swym kochankiem i błagać go będzie na kolanach, by oszczędził jej dalszych upokorzeń i wyjechał na zawsze z miasteczka.

Raptem przemknęła jej myśl jeszcze straszliwsza, bardziej jeszcze od tamtej druzgocąca, doprowadzając ją nieledwie do obłędu. „A jeśli w łonie zagnieździło się jego nasienie?”

Może za dwa — w najlepszym razie trzy miesiące — jej talia zacznie poszerzać się w obwodzie, apetyt rosnać, brzuch pęcznić — wszystko w nieobliczalnych proporcjach?

Myśl ta wydała jej się nieznośną, miała chęć bić głową o ścianę.

Dlaczegoż tak okrutnie ją ukarano? Co uczyniła?

Czy popełniła świętokradczy grzech miłowania świętego uczuciem cielesnym, pragnęła go może w lubieżny, zmysłowy sposób? Jeśli tak, był to zaiste grzech śmiertelny, równy grzechowi przeciw Duchowi Świętemu.

Byłaż to może pokuta za winy jej dziadów, pradziadów?

Ale czy modły na nic zdać się nie mogą, czy też Wszechmocny głuchy jest tylko na jej błagania?

Azaliż możliwym jest, że Bóg to okrutna, diabelska istota, Moloch radujący się zgubą własnych dzieci?

Śmierć była jej jedyną ucieczką, jedynym lekarstwem. Ognie Gehenny z pewnością nie mogły być gorsze od jej obecnych cierpień.

Tak, sama wymierzy sobie karę i w ten sposób odpokutuje częściowo za czyn swój grzeszny.

Uniósłszy do gardła zeszywniałe palce próbowała się dusić.

Gdy już dławiła się, brakło jej tchu i palce rozluźniły uścisk. Oczom jej ukazała się postać wiecznego Kosiarza, a za tym zielonym, posepnym wizerunkiem śmierci ujrzała majaczące w tle czerwone niespokojne płomienie piekieł. Zajrzała jej w twarz bezdenna otchłań Abaddona i wszystkie jej potworności. I nie było to ponure światło czyścica, gdzie wciąż trwa jeszcze nadzieja, ale czarna rozpacz toni jeziora ósmego kręgu.

Zadrzała z niewymownego przerażenia i zakryła rękoma oczy, nie chcąc oglądać dłużej tak potwornego widoku.

Nie, nie może skazywać się na wiekuiste potępienie, ściągać na siebie gniewu bożego, nie mających końca męczarni w siarce i ogniu, wśród ohydnych gadów, kąsających skorpionów, chłosz-czących jak bicze węży i — co ze wszystkiego najgorsze — nie ustającej tortury daremnych wyrzutów.

Nie, żyć będzie, pójdzie do zakonu.

Ona w klasztorze? Ona, która być może nosi już w łonie dziecię, czy ma prawo bezcześcić dom, gdzie żywot wiodą świątobliwe dziewice?

Nie, dla niej znacznie odpowiedniejszym byłby dom rozpusty.

Ale może jednakowoż sen to był tylko? Przerazająca nocna mara, atak somnambuliczny? Wielekroć wszak spacerowała już we śnie, robiąc przy tym różne dziwne rzeczy.

Czemuż tedy koszula jej mokra od krwi, czemu zmięta jest i poplamiona lepką mazią, której zapach tak drażni jej nozdrza?

Dlaczego otwarto okno i do kogóż mogły należeć ślady stóp prowadzące od okna do łóżka? Tak, na wypolerowanej do połysku podłodze wyraźnie odznaczały się odciski zakurzonych bosych stóp.

Ledwie zdążyła zamknąć okiennice i zetrzeć ślady kurzu, gdy pod drzwiami zatrzymały się czyjeś kroki i usłyszała delikatne pukanie. Przyprawiał ją teraz o drżenie najcichszy odgłos; wpadając w trwogę zbladła.

Omdlewająca, roztrzęsiona, wskoczyła do łóżka i słabym, ledwo dosłyszalnym głosem wybąkała: „proszę”.

Któż tak cicho puka do drzwi? Czyżby to on, jej kochanek? A może ktoś widział go zeszłej nocy; przez myśl przemknęły jej najszałeńsze domysły.

Najwidoczniej nie usłyszano jej głosu, rozległo się bowiem mocniejsze pukanie, po czym, w tej samej chwili, drzwi otwarły się. To tylko pokojówka — przyszła powiedzieć, że cioteczka czeka.

Kamilla odparła służącej, że źle się czuje i wstać z łóżka nie może. Starsza pani przybyła zaraz osobiście dopytać szczegółów. Dziewczyna

wyszeptała słabym głosem, że zaczął jej się znowuż miesięczny period i czuje w całym ciele silny ból. Znużone, wyczerpane oblicze, ciemne obwódki wokół oczu — były to widome oznaki, że dziewczę istotnie dziś niedomaga.

— Jeśli ci się nie poprawi, pošlę po doktora i może on będzie coś umiał poradzić; aczkolwiek w podobnych przypadkach...

— Nie, nie — dziewczyna przerwała ciotce w popłochu. — Nie potrzebuję lekarza, w niczym pomoc nie może.

— W istocie masz rację; na tego typu dolegliwości mąż, jak sędzę, jedynym bywa lekarstwem; a skoro już o tym mowa, myślę, że nie ma powodu odkładać dłużej twego małżeństwa. Młoda jesteś, to prawda — ale, jak wszystkie dziewczęta w rodzinie, nad wiek rozwinięta.

Dziewczyna słowem jej nie odrzekła, ukryła twarz w poduszce i gorzko załkała.

Ciotka, wiedząc dobrze, jak histeryczne bywają młode panienki, gdy cały system zaburzony zostaje periodem, zmusiła ją do zażycia kilku kropel opium, następnie wyszła z pokoju, uznawszy, iż cisza i wypoczynek najskuteczniejszym będą środkiem na złagodzenie jej nie-domagań.

Dla biednej dziewczyny rozpoczął się dzień mąk straszliwych. Każdy najmniejszy hałas szarpał jej nerwy, dźwięk obracającej się karuzeli przywodził nieledwie o rozstrój. Ledwie udało jej się zmrużyć oczy, zrywała się gwałtownie, myśląc, że to już przyszedł ktoś lżyć ją za to, co uczyniła. Nagle ujrzała całkiem wyraźnie szyderczą twarz robiącą do niej miny, potem następną i jeszcze jedną, aż cały pokój zapełnił się drwiącymi, ironicznymi maskami; potwornością było na nie patrzeć, czuła, że odchodzi od zmysłów.



Wzięła kilka kropel wywaru z wiśni i lauru, uspokoiła się znów i nawet udało jej się zasnąć; zbudziwszy się zobaczyła obrzydliwego pudelka ciotki, siedzącego na tylnych łapkach pośrodku pokoju i obserwującego ją. Gdy tylko ujrzał jej otwarte oczy, zerwał się merdając ogonem i z wyraźną rozkoszą obwąchiwać poczał łóżko dziewczyny. Odpędziła go, a jej ciężkie powieki opadły i zamknęły się — wszakże nie na długo. Niebawem pies zakradł się znów do pokoju, wdrapał cicho na łóżko, wsunął pysk między jej uda i wprawnie lizać poczał piekące, nabrzmiące wargi, wywołując tym nader przyjemne doznanie. Przyśniło jej się, że jest w kościele i że kapłan — w osobie świętego Sebastiana — udziela jej błogosławieństwa. Niestety! W chwili najwyższego uniesienia obudziła się, by ujrzeć na swym łóżku to najpodlejsze ze stworzeń; krzyknęła przerażona, odrzucając precz od siebie nienawistne zwierzę.

Wreszcie nadeszła noc, noc napełniająca ją przez dzień cały takim lękiem, budząca tak straszliwe obawy. Stopniowo umilkły wszelkie odgłosy i wokół zapanowała cisza: głęboka cisza na dworze, stonowana w domu. Idealny spokój nocy zakłócały jedynie strzępy nadlatującej co chwila gdzieś z daleka pieśni, tępe poszczekiwanie psa w głuchej dali i rytmiczne tykanie zegara w hallu na dole, który monotonią swych

uderzeń zdawał się wymierzać skurcze i rozkurczę serca domu.

Powoli ustały na zewnątrz nawet te niewyraźne, sporadyczne dźwięki i usłyszeć można już było jedynie coś jakby cichy szmer, jakby miarowy oddech miasta lub senne pomruki drzemiącej ziemi.

Gdyby nie wpojone jej przez religię głupie obawy przed potwornością kary w przyszłym życiu, śmierć byłaby w tamtej chwili łaską i dobrodziejstwem.

Gdyby nie księżę sztuczki, czyż ludzkość myślałaby z taką trwogą o perspektywie wiecznego snu na miękkim łonie matki ziemi?

Myśli rychło mięsząc jej się poczęły i tracić kontury, w jej umyśle dominowała wszakże wizja śmierci. Zapadając już w sen, zerwała się nagle przerażona, bojąc się, iżby nie wpaść w trans.

Wyskoczyła z łóżka i przemierzać jąła pokój tam i z powrotem, starając się nie zasnąć. Przyciągnęło jej uwagę stojące na toalecie oprawne w porcelanową ramę lustro. Podeszła doń i usiadła naprzeciw. Była wciąż blada, oczy straciły swój poprzedni nieprzytomny wyraz, atoli czuła ospałość, zmęczenie...

Jeśli przyjdzie, czy nie znajdzie jej szpetną?

Jeśli przyjdzie? Naraz uczuła tęsknotę, przemożne pragnienie, by przyszedł. „Nie, nie”, powiedziała do siebie półgłosem, jakby chcąc być przez to bardziej przekonującą. Gdyby przyszedł, będę krzyczeć, cały dom postawię na nogi.

Ale on nie przyjdzie. Na zegarze w hallu wybiła północ. Przebiegł ją dreszcz. Nie przychodzi.

Westchnęła głęboko, jakby z żalem, niemal rozczarowana.

I naraz miała chęć wydrzeć serce z piersi i zgnieść je, za to, że ośmieliła się tak poczuć.

Poza tym, pomyślała, po cóż miałby przychodzić? Dostał wszak, czego pragnął. Gdy wy-ciśniesz do cna sok z cytryny, skórka niepotrzebna. Nacieszył się nią do syta, przeto pójdzie teraz zaspokajać swe żądze gdzie indziej.

Lecz przecie ludzie, wiedziała o tym, uważają ją za piękność; mógłżeby więc czar jej zblednąć w czasie jednej nocy?

Spojrzała znów w lustro na swe odbicie. Jakże wielkie, jak błyszczące zdawały się jej oczy, kiedy na się patrzyła; źrenice jakby się rozszerzały, rozbłyskując świetlistym ogniem. Wydawało się, jakby to on sam wpatrywał się w dziewczynę jej własnymi oczyma. Przeraziła się, czując, iż sama siebie hipnotyzuje, iż ogarniać poczyna ją szczególna, z naturalnym snem-niewiele zgoła wspólnego mająca senność.

Oszalała ze strachu, nie wiedząc, co począć, podbiegła do stolika z miednicą i zanurzyła ręce, a potem twarz w chłodnej wodzie. Udało się, trans minął.

Wpół do pierwszej, a on wciąż nie przychodził. Darmo starała się udawać, że jest rada, a przecie czuła żal, żal bezgraniczny. Jakby miażdżono jej serce. Tęskniła za nim, dlaczegóż nie przyszedł? Tęsknota jej z każdą chwilą stawała się silniejszą, bardziej nieznośną, w końcu przerodziła się w mękę.

W tej właśnie chwili usłyszała cichą, cichuteńką kołysankę, Azaliż słyszała naprawdę, czy

może słuch ją mylił? Nadstawiła uszu, pieśń była teraz głośniejsza. Zatem nie pomyliła się.

Tak subtelna i słodka mogła być chyba tylko pieśń zaklinacza węży.

A może to owa indiańska nuta, do której Shelley układał swoje czarodziejskie rymy?

Głos zbliżał się niepostrzeżenie.

A więc nadchodzi, jest już blisko.

Cóż ma z sobą począć? Uciec, ukryć się, schować w pokoju ciotki?

Ogarnęło ją przerażenie. Jakimż to sposobem mężczyzna ów ma nad nią moc taką, że członki własne odmawiają posłuszeństwa woli?

Usłyszała delikatne skrzypienie; wiedziała, że to otwierają się okiennice.

Przechodzi przez parapet, ciągnie ją ku sobie. Odwróciła się; był tam, całkiem nagi.

Nie krzyczała, nie postawiła domostwa na nogi, nie wydała z siebie najmniejszego dźwięku. Rozłożył ramiona, rzuciła się w nie, przycisnął ją do piersi.

Usiadł w czerwonym atlasowym fotelu biorąc ją na kolana. Rozpuścił jej długie złote włosy i rozrzucił falami na swoim ciele. Owinał ramiona dziewczyny wokół swej szyi i ująwszy w dłonie jej twarz namiętnie całował usta, aż okryły się soczystą purpurą.

Zrazu nie śmiała dać zgody, by rozpiął suknię, zanurzył w rozpięciu dłonie i, sięgnąwszy piersi, czynił z nią, na co miał ochotę; wystarczyło wszakże, by utkwiał wzrok w jej oczach i poprzez oczy zajrzał w jej najskrytsze głębie, a zaraz poddała się, ulegając — niczym niewolnica — najdrobniejszym jego zachciankom.

Poza tym, jakkolwiek w łachmanach mógł być zwykłym włóczęgą, w swej wspaniałej nagości był herosem, świętym, półbogiem.

Powolutku, z pewnością, niż dokonałby tego najzdolniejszy wśród mężczyzn, rozpiął suknię obnażając przecudne łono. Jakże oszałamiające były w swej ciepłej mlecznej piękności jej różo-wozłociste piersi; brodawki wyglądały niczym dwa maleńkie kwiatuszki brzoskwini pływające w miseczkach pełnych mleka, każdy otoczony delikatną obwódką.

Po chwili była już całkiem naga; opletli tedy ramionami szyje, wijąc się od niewymownej rozkoszy, ocierając kończynami, mrużąc z uciechy, gruchając jak dwa gołąbki, kęsając jedno drugiemu język, do omdlenia niemal odurzeni wonią swych ciał.

Trzeba zrozumieć tę dziką namiętność; byli w wieku owym, gdy człek kipi żądzą, a ciało jak wosk się topi. Ona przez naturę stworzona do miłości, on tak przecie jeszcze młody, ledwie zakosztować zdążył słodczy kobiecych całusów.

Chwilę potem drżała na całym ciele od nie-wysłowionej rozkoszy, gdy on, pochylając się, końcem języka drażnił brodawki sutek, wprawiając tym każdy nerw piersi w nieznośne niemal dygotanie; jednocześnie zwinne palce pieściły włosy, ślizgały się po całym ciele, palce zaś nóg łechtaly leciutko w podeszwy jej bose stopy. W całym ciele — Od bliskości jego ciała — czuła mrowiące podniecenie, umysł wirował w rozpalonej głowie. Toteż dziewicza jej skromność wcale nie doznała szoku, gdy młodzieniec wetknął jej w rękę swój szpikulec — ujęła go

z najwyższą gorliwością i pocierać ją o wargi swej małej szparki, która teraz odzyskała na powrót całą swą świeżość i żywotność i pożądliwie rozwierała się na jego przyjęcie.

Teraz jednak, gdy wróciła do siebie, zapragnął wprowadzić ją pełniej w nową uciechę i przyprawić o szaleństwo lubieżną pieśczętą, nim da jej tę najwyższą rozkosz, jakiej może doznać mężczyzna, tudzież kobieta; rozkosz, której skosztował zaledwie zeszłej nocy i do której znowuż zatęsknił.

Posadził ją tedy na krzesło i, klękawszy przed nią, założył sobie na ramiona jej cudne nóżki, głowę mając przeto między nimi. Rozwarłszy w ten sposób na wystarczającą szerokość jej uda, przybliżył usta do szczeliny. Przez chwilę wdychał słodki aromat, którym woniały porastające tę okolicę złote włoski.

Znał ten zapach, to przecież woń krzewu, co rósł w jego stronach i kwieciem pokrywał się w Zielone Świątki; tak, zwą go „węzowym kwiatem”.

Gdy nawdychał się już do syta owych upojnych wonności, ucałował gorliwie jej wargi i przytknął koniuszek języka do szczytu bruzdy, najwrażliwszego z wszystkich miejsc na ciele kobiety; zrazu zdawał się kłuć nim raczej niżli gładzić i pieścić, znów zadając jej przyjemność niemal aż do bólu. Krzyczała, by przestał, nie mogła dłużej; naraz uczuła, iż rozpływa się w morzu zmysłowych rozkoszy, wlatuje w regiony nieziemskich uniesień; chwilę potem żywa ta jagoda łkała z radości, nerwy rozluźniły się i dziewczyną omdlała z wyczerpania.

Wnętrze jaskini rozkoszy dopominało się teraz o swój udział w spełnieniu; było jak usta spieczone gorączkowym pragnieniem, żebrzące o kroplę wody, co zwilży zaschnięte podniebienie. Wstał więc i, posadziwszy ją sobie okrakiem na kolanach, wcisnął korzeń — twardy teraz i sterczący niczym olbrzymi grzyb z kępy trawy — w jej szparę. Chciał wsunąć go delikatnie, ale ona — nie mogąc się dłużej wstrzymać — spadła nań z taką siłą, iż znalazł się w niej od razu prawie cały. Z dwóch wszakże powodów zamarli obydwój na ułamek sekundy w bezruchu. Pierwszym powodem było, iż, ledwo odzyskawszy siły po zadanej jej poprzedniego wieczora ranie, czuła, będąc znów rozwieraną, ostry ból. Co się tyczy młodzieńca — jako że miał do tej pory kilka zaledwie kobiet, a wszystkie dojrzałymi były matronami, o krocach jak stare znoszone kapcie — żołądź jego ledwie wyłuskała się z kapturka, toteż gdy dziewczę tak gwałtownie na nią natarło i naraz młodzian znalazł się w bolesnym uścisku ciasnego przedsionka, został przezeń niemalże obrzezany; oto i powód drugi. Rychło wszakże zapomniano o bólu: zarzuciła mu ramiona na szyję, młodzieniec objął ją w pasie, i rozpoczęli podskoki w dół i w górę, w czasie których on wił się, energicznie wstrząsając pośladkami; nagle wierzgać poczęła gwałtownie, on skwapliwie dotrzymał jej pola, i tak zdobyte zostały i spustoszone resztki wałów obronnych jej nadwężonego już dziewictwa; jego szpikulec wniknął w najgłębsze regiony i tam — ni-

czym *jet d'eau* — wstrzyknął w spazmie rozkoszy swe miłosne mleczne soki. Dyszeli, wzdychali ciężko, potem gruchali jak gołąb z gołębicą. Po krótkiej przerwie, nie wyjmując strzały z kołczanu, jęli dotykać wzajem swoich ciał; wnętrzem dłoni pieścili się na wszelkie możliwe sposoby, kąsali nawet leciutko jak figlarne pieski. Niebawem znowu uczuli pożądanie, zmysły znów zawładnęły nimi i rozpoczęli od nowa miłosną potyczkę. Szturmowano wielokrotnie i na różne sposoby, różne były też metody, podług których toczyła się zmysłowa bitwa. Rezultat wszakże był zawsze jednaki: nerwy rozluźniały się i walczący padali na wpół żywi w swoje objęcia, namiętność bowiem upajała ich niczym trunek. Kiedy wreszcie wyciągnął swój tępy miecz z pochwy po raz ostatni, nasienie jego było w jej łonie i tak poczęty został mój rodzic.

Nazajutrz rano miała wszakże pełną świadomość swego upadku i nie zostało nic, co złagodzić mogłoby jej cierpienie, atoli — wbrew przekonaniu Dantego, iż „nie ma straszniejszej boleści, niż myślą szczęścia zaprawiać rozpacz” — pocieszała ją świadomość, że doznała przecie tej nocy pełni rozkoszy.

Nie umniejszało to wszakże uczucia dojmującego wstydu, że oddała swe ciało pierwszemu, który go zapragnął. Myśl o tym, że będąc w pełni przytomną uległa z pokorą — nie, wręcz z zapalem! — szponom żądry, była jej nieznośną.

Poddała mu się z własnej nieprzymuszonej woli; azaliż zdolną będzie oprzeć mu się naza-



jutrz? Teraz, będąc w pełni zaspokojoną, czując nawet przesyty, teraz, gdy jest sama, oczywiście wydaje się sobie silna; kiedy jednak nie będzie widzieć go przez dzień cały, czy nie powita' z otwartymi ramionami nocą?

Serce — lubo głębokie wewnętrzne przekonanie — przeczyło cisnącemu się na usta kłamstwu.

Poza tym, jeśli nawet oprze mu się nazajutrz, czy wytrwa w swym oporze, gdy miłość rozłąką, a żądza podsycana wciąż będzie abstynencją?

I wreszcie: oddawszy mu swe dziewictwo, nosząc być może w łonie jego dziecko, czy warto opierać się, dlaczegóż nie zaspokoić z nim żądz swych do syta?

Cóż zatem winna począć, gdzie szukać pomocy?

Gdyby poszła się wypowiedzieć, czy kapłan zdoła poradzić jej, co ma czynić?

Czyż była dla niej jeszcze rada, czy istniał ratunek?

Gdyby Kościół darował jej winę, czy świat jej wybaczy?

Nie, doświadczyła w życiu miłości, doświadczyła grzechu i upadłą tak nisko, iż zgubioną być musi na wieki.

Kroplę wody zmieszaną z kurzem wyciągnąć może z błota żar słońca, żadna wszakże miłość niezdolna dźwignąć ugrzęzłej w błocie nieszczęsnej dziewczyny. Takie bowiem jest miłosierdzie czułego serca chrześcijanek.

Śmierć jedyną była ucieczką, jedyną możliwą pokutą.

Miała na stoliku opiat, którego parę kropel

zażyła już w ciągu ostatnich dni na złagodzenie kobiecych dolegliwości. Przełęknięta, oszalała z rozpaczy, niewiele myśląc chwyciła fiolkę i jednym haustem wypiła całą zawartość.

Gdy wkrótce potem do pokoju weszła służąca, zastała dziewczę pogrążone w kamiennym śnie; próbowała dobudzić ją, słysząc w odpowiedzi jedynie nieartykułowane mamrotanie. Wystraszona wezwała pomoc.

Przybiegła Miss Des Grieux i, widząc pustą fiolkę, natychmiast posłała po doktora.

Silny środek wymiotny rychło przywrócił dziewczę życiu, zażyta bowiem przez nią dawka trucizny mogła jedynie ją odurzyć, lecz nie zabić; a, jako że wiadano, iż dziewczyna cierpiała ostatnio, myśl o samobójstwie nikomu nawet nie przyszła do głowy.

W pełni odzyskawszy siły, wyznała swe winy ciotce. Starsza pani była, rzecz jasna, zszokowana i wielce zgorszona, pamiętając wszakże błędy swej własnej młodości — miał rozpaczać nad rozlanym mlekiem, jak to uczyniłaby większość naszych oschłych, zatęchłych w swym dziewictwie starych panien — ona starała się załagodzić jakoś ponurą tę sytuację i wszelkimi sposobami podtrzymać siostrzenicę na duchu.

Takie rzeczy. — mówiła — zdarzają się w rodzinach co dzień; obdarzone histeryczną naturą, bujną wyobraźnią i wątłym ciałem dziewczęta są jak atakowane zewsząd, a pozbawione przy tym drzwi i okien domostwa. Nie jest twoją winą, że taka się urodziłaś. A ponieważ co się stało, to się nie odstanie, musimy jak najzręczniejszym zatuszować całą sprawę, nie dopuścić, by

nabrała rozgłosu. Zostaw już wszystko mnie, a zobaczysz, że rok nie minie, a nie będziesz zaprzętać tym sobie głowy; a tymczasem, im mniej będziesz na ten temat rozmyślać, tym lepiej.

Zacząła od tego, że umieściła siostrzenicę w swoim apartamencie, by młodzian dłużej, mieć nie mógł do niej dostępu; następnie, z pomocą uspokajającej mikstury, ułożyła dziewczynę do snu, by poprzez sen wypocząć dała wzburzonym zmysłom.

Gdy wieczorem zjawił się jej siostrzeniec, ciotka oznajmiła mu, iż Kamilla zaniemogła i że doktor zalecił jej jako jedyne lekarstwo rychły mariaż.

Dziewczęta w naszej rodzinie, rzekła, są jak owe nadzwyczajnie wybujałe, pędzone w cieplarniach rośliny; kobietami stają się w wieku lat dwunastu, gdy kończą czternaście, gotowe są do małżeństwa. Wolą waszych ojców i dziadka macie — prędzej czy później — zostać sobie poślubieni; po cóż zatem zwlekać, skazując Kamillę na niepotrzebne udreki, po co trwonić jej najlepsze lata?

Kolacja była soczysta i pikantniejsza niż zwykle; stary burgund rzadkiego rocznika, trufle, do tego wyliczane bez końca przymioty ku-zyneczki, erotyczna rozmowa i kilka kieliszków likieru — wszystko to razem podrażniło w jakimś stopniu ospałe zmysły młodzieńca, poruszyło jego zimną krew i rozbudziło zmysłową wyobraźnię.

Już zbierał się do wyjścia, gdy przemyślna stara panna poprosiła, by udał się z nią na górę

sprawdzić, czy Kamilla zasnęła. Młody Des Grieux poszedł za nią z lekkim drzeniem, czując w całym ciele dreszcz pożądania, jakiego dotąd nie zaznał — w każdym razie nie wobec swej kuzynki.

— Wejdz cichutko, na palcach, może zasnęła, szkoda byłoby ją budzić — szepnęła ciotka.

Młodzian, zmieszany, stojąc w progu wahał się, potem, bezszelestnie, postąpił krok naprzód.

W pokoju było niemal całkiem ciemno; jedynie migotliwa nocna lampka rzucała z góry słabe czerwone światło. Leżąc uśpiona na olbrzymim łożu wśród różowych poduszek, dziewczyna wyglądała jak owa księżniczka z bajki w wieży snu.

Używając światła od gorejącego w swych żyłach płomienia ujrzał gmatwaninę cudnych rozsypanych po poduszkach włosów, nagie delikatne ramię, śnieżnobiałą pierś i, pod cieniutkim prześcieradłem, zarys nadzwyczajnej piękności kończyn. Młodzieniec, znający dotąd jedynie otyłe, chropowate wdzięki przysadzistej kucharki o czerwonych rękach i szerokich stopach, stał oniemiały z wrażenia na widok tak niebiańskiej urody.

— Ciotko, mogę ucałować jej rękę? — spytał drżąc cały.

Był — zgodnie z panującą wówczas modą — przyzwyczajony całować kuzynkę w usta, nie wiedział przeto, azaliż pocałunek w dłoń nie byłby wykroczeniem przeciw etykecie.

— Możesz czynić, co zechcesz, bylebyś jej nie obudził — odparła ciotka z prowokacyjnym uśmiechem.

Starsza dama odeszła następnie w kąt pokoju, by przyciąć knot ledwie żarzącej się nocnej lampki, ale, jakoś nieszczęśliwie, w tej właśnie chwili światło całkiem zgasło.

Młodzian poczuł się nieco speszony, znalazłszy się przy łóżku dziewczyny w idealnej ciemności.

Błądził rękoma po omacku, natrafiając na rozmaite delikatne partie ciała, wreszcie wycisnął gorący, namiętny, wilgotny pocałunek w jędrnym miejscu, które okazało się być jej piersią. Dziewczyna — najwidoczniej śniąc o swym kochanku i czując przez sen na skórze dotyk gorących jego warg — ujęła twarz kuzyna rękoma i całować poczęła zapamiętale.

— Gdzie jesteś? — spytała ciotka.

— Tutaj — odrzekł cicho ochryplym głosem. Starsza pani, dotarłszy do niego z trudem w ciemności, chwyciła go za rękę i wyprowadziła z pokoju.

Krew uderzyła młodzieńcowi do głowy i zachwiał się na nogach jak pijany.

— Późno już — rzekła sprytna kobieta — a poza tym lękam się zostać sama, jako że doktor ostrzegł, iż stan Kamilli może się w nocy pogorszyć; mam tu wolną sypialnię, czy nie zechciałbyś zostać i przespać się u nas?

Młodzian myślał właśnie, co prawda, o wielkich piersiach podkuchennej, jej potężnych biodrach i masywnych pośladkach, nie śmiał jednak odmówić; tak więc, drżąc z podniecenia, udał się na spoczynek w swe samotne łóżko.

Ciotka zaś, upewniwszy się, że wszystkie światła pogaszone i każdy ułożył się do snu —

pokojówka z uroczą córką ogrodnika, kucharz ze służącym — skierowała się do sypialni swej siostrzenicy, tam powoli się rozebrała i położyła do łóżka.

Jako że noc była wyjątkowo ciepła, starsza pani, wbrew swym zwyczajom, ledwie przymknęła okiennice, okna zostawiwszy całkiem otwarte.

Rzuciła się na łóżku nie mogąc zasnąć; nie żeby się lękała — była przecie dzielną kobietą, poza tym wiedziała, że ma pod ręką sznurek od dzwonka, który, w razie niebezpieczeństwa, obudzi zaraz wszystkich domowników — atoli czuła lekkie drżenie, które czułaby wszak na jej miejscu najodważniejsza spośród niewiast, wiedząc, że w każdej chwili wejść może do pokoju przez otwarte okno mężczyzna, młody, zuchwały łajdak. A jednak, wykazując nadzwyczajny hart ducha, oczekiwała jego przyjścia z gotowym do boju sercem.

Tymczasem myślała o swej siostrzenicy oraz o tym, jak najlepiej naprawić i zatuszować to, co się stało; przypomniała sobie swą własną nieszczęsną przeszłość, ów dzień wtedy na wsi, gdy, schowana za krzakiem, dojrzała kąpiącego się nago w rzece młodego parobka i jak drzeć poczęła na widok jego wybijającej męskości. Przypomniała sobie, jak potem wiele razy chodziła się z nim spotykać, i wszystko to, co wydarzyło się później.

Pogrążona w rozmyślaniach usłyszała nagle na zewnątrz cichy hałas. Odwróciwszy się zobaczyła, jak powoli otwierają się okiennice i na parapecie pojawia się męska postać. W tym

momencie — mimo całego swego bohaterstwa — poczuła strach i już sięgnąć miała po dzwonek, by wezwać pomoc. W porę jednak zdołała opanować się, postanawiając sprawdzić, co też się będzie działo.

Wszystko wydarzyło się zgodnie z tym, co relacjonowała jej o młodzieńcu siostrzenica; zdarł z siebie koszulę, ściągnął bryczesy i postąpił ku jej łóżku całkiem nagi; najwyraźniej czuł się w pokoju jak u siebie.

To był on, nie mógł to być nikt inny.

Błyskawicznie znalazł się przy jej łóżku, potem na niej.

Jako że noc była gorąca i duszna, kobieta leżała odkryta, nogi mając rozłożone, uda rozchylone szeroko, by czuć delikatny świeży podmuch wiejącego w dolinie wietrzyku. Nie miała na sobie nic prócz przykusej koszulki; ta zadarta była, odkrywając całe podbrzusze.

Jakże wielkie było zdziwienie młodzieńca, gdy szpikulec jego wślizgnął się gładko pomiędzy pulchne wargi i zatopił cały w nie stawiającym najmniejszego oporu soczystym ciele; nie uwierzyłby nigdy, że kobieta, tak ciasna jednego dnia, mogła stać się tak luźną i przepastną w ciągu niespełna dwunastu godzin; jego zdumienie wzrosło jeszcze, gdy uczuł, że znalazł się w kleszczowatym uścisku, a ciało jego przywiera do dwóch wielkich obwisłych piersi, w niczym nie przypominających owych delikatnych pączuszków i nieśmiałych, cudnych, szczupłych nóżek kruchego dziewczęcia, co je był rozdzwiczył i posiadał zeszłej nocy.

Oniemiał na moment, przez głowę prze-

mknęły mu setki myśli, ścigając jedna drugą jak płatki śnieżnej zawieruchy.

Słyszał nieraz, że małżeństwo zmienia pannę nie do poznania, czyliż jednak możliwym jest, by w ciągu jednego dnia nie tylko tak bardzo rozluźniła się w środku, ale i by w takim stopniu zwiotczała? . Azaliż śnił, czy też wszedł może do innej sypialni, do niewłaściwego łóżka? Rozważywszy tę kwestię doszedł do wniosku — do którego ja i wy doszliśmy już wcześniej — że kochanka jego zmieniła była pokój, a jej miejsce zajęła inna.

Tymczasem tulono go zawzięcie, obłapiano, czepiano się, z całych sił przyciskano.

Ramiona, nogi, eale jego ciało oplecione było silnymi mackami tego sflaczałego polipa, w którego wszedł był tak nieopatrznie.

Ciepłe lepkie ciało zacisnęło się wokół jego szpikulca, przyklejając się doń, pieszcząc go i wsysając niezliczoną ilością warg.

— Kim pan jest? — ozwała się kobieta, nacierając nań zawzięcie. — Natychmiast odpowiedz! — rozkazała wygiąwszy się tak, że przywarli do siebie owłosieniem okolic intymnych.

Nic nie rzekł, pozwalając jej wierzgać do woli.

— Proszę mówić mi zaraz: kim pan jesteś i jak śmiesz wchodzić w środku nocy do łóżka uczciwej kobiety?!

Milczał.

— Jeśli nie odpowiesz, będę krzyczeć, zadzwonię po służbę, każę cię zaaresztować.

Wypowiedziawszy te słowa, mocniej ścisnęła go, poruszając teraz jedynie pośladkami.

— Wybacz, pani — odparł słabym głosem —



ale mój okręt zawinął w potrzebie do pierwszego napotkanego portu.

— Jaśniej, bez wykrętów!

— Prawdę mówię i choć zbłądziłem po drodze, kotwica znalazła przecie całkiem niezłą przystań...

Starsza pani już chciała się odezwać, gdy szybko zamknął jej usta pocałunkiem. Poczęła chciwie, lubieżnie ssać jego język, sięgając aż po nasadę; przerwała sobie jedynie, by błagać go, żeby się nie podnosił, ale parł na nią z całej mocy.

Lata minęły od chwili, gdy kobiecie ostatni raz przypadł tak smakowity kąsek, nic zatem dziwnego, że oddała się zabawie z zachwytem i poświęceniem.

Po kilku udanych podejściach: od przodu, od tyłu, na leżąco, na siedząco i na stojąco, żar młodzieńca ostygł, nim zdołał zaspokoić lubieżny starczy apetyt. Miss Des Grioux zapaliła wówczas nocną lampkę, rzucającą wokół słabiutkie nikłe światło, i nakazała młodzieńcowi się wytłumaczyć. Kiedy skończył, rzekła:

— Sam widzisz. Mogłabym oskarżyć cię o włamanie, o napad na moje domostwo w środku nocy.

— To prawda — odparł młodzieniec ponuro.

— Co więcej, jako że uciekłeś się do sztuk magicznych — nigdy wszak nie byłabym tak uległą, gdybyś nie użył czarów lub jakiej nadprzyrodzonej mocy — nie tylko wsadzić mogłabym cię do więzienia, ale sprawić, by torturowano cię, skazano na śmierć i spalono za czarnoksiężstwo.

Młodzieniec nie odpowiadał.

— Wszakże — ciągnęła dalej kobieta — za przyjemność, której od ciebie doznałam, pozwolę ci odejść tym razem wolno, i tak przecie w końcu kiedyś cię powieszają. Złożyć wpierw jednak musisz solenną przysięgę, iż nigdy nie wyjawisz nikomu z żyjących, czego się tu dopuściłeś. Poza tym jutro jeszcze wyjedziesz z miasteczka.

Młodzian nie kwapił się spełnić żądania, kochał wszak dziewczę, z którym przeżył rozkosz; słysząc jednak, że z jego powodu bliska była śmierci, strapił się wielce i złożył przysięgę.

Błagał tylko, by wolno mu ją było raz jeszcze zobaczyć, ciotka pozostała wszakże nieugiętą.

Wysłuchawszy słów obietnicy starsza dama postawiła przed młodzieńcem na stole lekką kolację i podczas gdy on raczył się połówką kurczaka, potężną porcją gołębiej pieczeni z truflami i innym grzybem, towarzyszka syciła oczy widokiem jego nadzwyczajnej piękności atletycznych członków. Nalała mu całą zawartość butelki burgunda, którym raczył się wielkimi łykami i z przyjemnością, bo — chociaż Hebe zażywna i podstarzała — wino wszelako było wyśmienite. Kobieta chętnie dałaby się namówić na drugą butelkę, licząc, iż narzędzie rozkoszy, sflaczałe nieco i jakby bez życia, odzyska jeszcze swą moc — on jednak odmówił trunku.

Głaskała mu go, poklepywała; instrument leżał okrągły, tłusciutki, pucułowaty, zupełnie jak dobrze odżywione niemowlę, nasycone mlekiem aż do mdłości. Bawiła się nim, pieściła,

zbyt był wszakże zmęczony, by się podnieść; lechtała go jednym palcem, masowała dwoma, trzema, wreszcie całą dłonią, wciąż jednak pozostawał miękki i niewzruszony. Uklękła tedy przed nim na kolana i pocierać ją go sutkami, wciskać między piersi, ale widać odporny był na wszelkie zaloty, jej pieśczoły nie skutkowały jakoś i wydawało się już, że nic nie zdoła wyrwać go z odrętwienia. Podjęła jeszcze jeden, ostatni wysiłek. Odsunęła napletek, wzięła do ust zrazu sam czubek, potem całą żołądz i poczęła ją ssać.

Wyżej wymieniona oblała się jakby wstydlwym rumieńcem, jednocześnie cały instrument zeszywniał i stanął w pełnej gotowości do boju.

Ona nie chciała wszakże przerywać pracy w połowie, z niebywałą zręcznością kontynuowała więc pompowanie, mierzwiąc przy tym porastające tę okolice włoski, trąc zawzięcie obrzeża, a wreszcie zagłębiając palec w tylny otwór. Czyniła to z wprawą tak mistrzowską, iż w końcu udało jej się go rozpalic, wprawiając całe ciało w miłe, mrowiące podniecenie.

Bliski był już omdlenia w spazmie rozkoszy, gdy przerwała nagle i, stanąwszy, wprowadziła instrument w swą szczelinę rozpaloną i ociekającą wilgocią niczym najgorętsza z izb rosyjskiej łaźni. Wchłonęła go w siebie aż po nasadę, nie zostawiając nic prócz dwóch śmiesznie osamotnionych jąder, co nie mogły przyłączyć się do zabawy. Sapała, dyszała, wila się, wczepiała w niego z taką zapalczywością, że wystrzelił w nią nareszcie płonąca ciecza, co jej zdało się niczym wybuch kartacza. Będąc tym w pełni

ukontentowaną, miauczeć ją jak podstarzała bura kocica, on zaś, czując głęboki wstrząs i lekkie mdłości, padł bez życia na jej rozłożystą pierś, głowę wsparłszy o potężne ramię.

I tak kresu dobiegła pamiętna noc w życiu starej damy; do śmierci wszakże pamiętać miała ona doznana wówczas rozkosz.

Nazajutrz rano śladu nie było po karuzeli i właścicielu.

A młode dziewczę?

O zwykłej porze usłyszała — w każdym razie we śnie — cichą, zmysłową melodię kochanka, przerywaną słowami płomiennej miłości; potem zdało jej się, że czuje na ustach jego wargi, na twarzy jego oddech; ale cóż to on robił, lizał ją?

Przebudziwszy się ujrzała na swym łóżku obrzydłego pudła; nie na łóżku nawet, lecz w swych ramionach! Przytulała do piersi jego wstrętą różową skórę; on zaś próbował właśnie popełnić z nią najohydniejszy z grzechów.

Krzyknęła, mdlejąc niemal ze strachu; zebrawszy jednak siły schwyciła intruza i rzuciła z impetem na ziemię. Biedak wydał z siebie bolesny skowyt — przyzwyczajony lepiej być traktowanym — podniósł się, spojrzał na dziewczynę w tępym zdumieniu, potem poszedł sobie kulejąc i skomląc, najwyraźniej zrozumieć nie mogąc kobiet i ich kaprysów.

Jako że umysł jej i ciało były już i tak w stanie rozstroju, zajście to wstrząsnęło Kamillą nad miarę; leżała nie zmrużywszy oka przez pół nocy, wstrząsana dreszczem, dręczona wyrzutami sumienia, trawiona urojonymi lękami. Niebiosa opuściły ją więc, pozostawiając na pas-

twę losu. Myśl ta przepełniła dziewczynę uczuciem nagłej bezradności i bezgranicznej trwogi; zdało jej się, iż traci zmysły.

Wypiła kolejną łyżkę uspokajającego wywaru i z jego pomocą o brzasku udało jej się zasnąć.

Nazajutrz rano młody Des Grieux obudził się z uczuciem tej samej palącej żądz, z jakim kładł się był do łóżka uprzedniego wieczora; dokuczliwe owo pragnienie szarpało mu nerwy przez dzień cały, utrzymując szpikulec jego w pozycji oczekiwania. Dzień spędził beczynn timer jak zwykle, myśli skupione mając częściowo na wspomnieniu tego, co widział zeszłego wieczora, częściowo zaś na czułych pieszczotach, które miała dlań w zanadrzu pomywaczka, karesach, co kazały jej nazywać go brzydalem i małym świntuchem.

Wieczorem znów spożył kolację w towarzystwie ciotki; dania przyprawione były jeszcze pikantniej, do wina dosypano narkotyk; ponadto nasza stara panna — jeśli wypada ją tak nazywać — skierowywała wciąż rozmowę na powaby Kamilli tudzież inne erotyczne tematy, a stwierdziwszy, że wystarczająco jest podniecony, udała się razem z nim do sypialni swojej siostrzenicy.

Upłynęło zaledwie kilka minut, gdy nagle pilnie ją odwołano. Sąsiadka — bliska jej przyjaciółka — zaniemogła właśnie i posłała po nią, jako że, o czym powszechnie wiadano, doświadczoną była pielęgniarką.

— Muszę was, dzieci, zostawić, obiecacie mi, że, póki nie wrócę, będziecie grzecznie się tu

sprawować. Ty, Gastonie, jeśli masz ochotę, możesz coś kuzynce poczytać; choć właściwie lepiej tego nie rób, wszak boli ją głowa; spróbuj ją wszakże jakoś rozerwać.

Ledwie zostali sami, dziewczę schwyciły nagle ostre bóle brzucha, gdzieś w okolicy pępka.

Cóż za niefortunny przypadek, że ciotka — będąca wszak na poły doktorem — akurat wyszła.

— O Boże! O mój Boże! Co robić? — wykrzyknął Gaston. — Czy dzwonić mam po służącą?

— Nie, nie — jęknęła Kamilla — służąca mi nie pomoże.

Młodzieniec przypomniał sobie, co rzekła mu wczoraj ciotka — to jest, że małżeństwo uleczy Kamille z wszelkich dolegliwości. Chętnie ulżyłby swej kuzynce, nie wiedział wszakże, w jaki sposób mógłby jej być pomocnym.

— Nic nie przychodzi ci do głowy? — ozwała się Kamilla słabnącym głosem.

— Może bańki? — spytał zasepiony.

— Nie, nie; poza tym nie wiesz przecie, jak to się robi.

— To prawda — odparł z zakłopotaniem.

— Proszę, podaj mi flakonik z olejkami, spróbuję się natrzeć.

— Może ja to zrobię? — zaproponował drżącym nieco głosem.

— Jeśli chcesz - jęknęła nieszczęsna dziewczyna. Cierpiała okrutnie, a jako że ból nie zna wstydu, pozwoliła, by wsunął rękę pod prześcieradło i sama skierowała ją na bolące miejsce. Zrazu tarł ledwie czubkiem palca, ale osiągnął tyle, że połaskotał ją, aż skoczyła i ręka jego prześliznęła się po dziwnych wklęsłościach i wypukłościach. Pomału rozprostował palce i trzeć ją teraz począł całym wnętrzem dłoni.

Wkrótce oddech stał się spokojniejszy, przyszła ulga, zabieg wszakże nie był jeszcze skończony.

Młodzieniec zataczał dłonią coraz szersze kręgi, a tarcie sprawiło, że krew gwałtownie skoczyła z ręki ku sercu, potem do głowy; czuł, jak tętni mu w uszach, jak pulsuje w skroniach, ledwie patrzeć mógł na oczy, był jak pijany. Naraz, niemal bez jego woli, ręka miast kręgu zatoczyła elipsę i poczuł — koniuszkami palców — delikatny meszek, jak u pisklęcia, zanim pojawią mu się pióra, albo jak u nowo narodzonego kociątka. Dotknięcie delikatnego owego włosia tak było elektryzującym, iż, nim zorientował się, co czyni, dłoń cała sama wśliznęła się między jej uda, ściskając, głaszcząc, masując to, co tam znalazła, a usta przywarły do ust.

— Gastonie — ozwała się ona słabym głosem — cóż ty czynisz?

— Kamillo — odrzekł jej w nagłym przypiływie odwagi — czyż nie mamy wkrótce stać się mężem i żoną?

— Pomyśl o hańbie i grzechu.

— Banialuki — odparł kładąc drugą rękę na jej piersi, pieszcząc ciało.

Udała, że chce go odepchnąć — niezbyt wszakże stanowczo — zrzucając jednocześnie okrywające ją prześcieradło i całkiem niemal wyslizgując się z koszuli; słabła też coraz to bardziej z każdym jego atakiem, podniecając go tylko swym oporem i widokiem obnażonych powabów.

Wreszcie, zdjawszy surdut, kamizelkę i spuściwszy spodnie, wspiał się na łóżko i zwałił na nią całym ciałem.

I tu od nowa wszczęli walkę, tym razem nie na żarty. Kiedy wszakże ujrzała jego ptaszka — biały, gładki, wążiuchny kutasik, ledwo nadający się, by go wsunąć do tylnej dziurki, cóż dopiero mówić o przepastnej vaginie; wyglądający niczym wytatuowana na podbrzuszu ozdóbka, aż dziw, że, jak ten lis bez ogona, nie uciekł skryć się ze wstydu do nory! — zwarła uda próbując go powstrzymać, zadbawszy przy tym, by łono pozostało odkryte, a zadarta koszulka pozwalała dojrzeć, ile tylko między zaciśniętymi udami dojrzeć się dało.

Wreszcie — po owej przydługiej grze wstępnej — straciła siłę do walki i uznając się za pokonaną pozwoliła, by oplótł sobie jej uda wokół pasa, co uczyniwszy wetknął jej swój szpiczasty penis w szparę i raz dwa, rozprawił się — tak sądził — z jej dziewictwem.

Wzdychał z rozkoszy, ona krzyczała z bólu; tymczasem od drzwi dolatywało prychanie, skomlenie i cichutkie drapanie; wrażliwe ucho wychwyciłoby zapewne jeszcze dyskretny szelest jedwabi, a zaraz potem stłumione odgłosy lizania; młodzi wszakże nadto sobą byli zajęci, by cokolwiek słyszeć.

On sapał teraz i dyszał, omdlewając niemal z rozkoszy, do tej pory z kobiet znał bowiem jedynie ową rozpustną pomywaczkę, żrebicę, której dosiadała cała okoliczna młodź.

Kamilla — ledwie zdążywszy, dzięki zastrzykom ściągającym, wydobrzeć po ranach zadanych jej dwie noce wcześniej — szlochała gorzko ze wstydu, bólu i obrzydzenia.

Gaston — dopełniwszy koguciego dzieła — wstał z łóżka tak pełen dumy i chwały, jak kurczak, co zerznął właśnie starą kokoszkę ojca i chodzi teraz krokiem pawia po podwórku a pieje najgłośniej jak umie, pyszniąc się swym wyczynem.



Ona — upokorzona, pokonana i przybita, gardziła sobą za to, iż tak perfidnie wywiodła w pole mężczyznę, do którego żywiła wszak zawsze głębokie siostrzane uczucie, i mdłości czuła na myśl o tym, że zniżyła się do odegrania roli taniej dziewczki; czuła też złość na niego, że takim okazał się głupcem; przeto, skrywając twarz w poduszkach, zanosła się spazmatycznym szlochem.

Sprytna cioteczka, uznawszy, iż tragifarsa skończona, wpadła do pokoju, a za nią na tylnych łapach wierny pudel, zadzierając łeb, by lepiej widzieć, co się dzieje. Krnąbrny siostrzeniec — przyłapany na gorącym uczynku jak malec z palcem w konfiturach — odesłany został natychmiast do swego pokoju. Kamilla uspokoiła się rychło i pocieszyła; ciotka udała się wreszcie na spoczynek, wspominając z westchnieniem uniesienia poprzedniej nocy.

Niebawem odbył się ślub kuzynostwa.

Czy byli szczęśliwi?

A czyż może być szczęśliwym małżeństwo oparte na kłamstwie?

Pod wieloma względami charaktery ich niezwykle były podobne, cierpieli też obydwójce na te same dziedziczne choroby. Oboje byli nad-

wrażliwi, do przesady przejmujący się każdym drobiazgiem, najbliższe codzienne zdarzenia wyolbrzymiający swym chorobliwym przerostem wyobraźni do rozmiarów życiowych tragedii. Żadne nie miało krztyny cierpliwości, odrobiny zdrowego rozsądku, ani też owej pogody ducha, co znosić pozwala z pokorą „bicz i szyderstwa czasu”. Nie, oni potrafiли się tylko na siebie irytować, wzmagając jeszcze wzajem swoje cierpienia.

Skrzypnięcie drzwi starczało, by drgnęły boleśnie chorobliwie wyczulone nerwy i by przez resztę dnia swarliwi byli i rozdrażnieni, co zawsze ostatecznie kończyło się wieczorem potężna kłótnią.

Ona wyznała swą winę — nie mężowi, co prawda, lecz księdzu, który otrzymał, rzecz jasna, swą dołę, dając jej rozgrzeszenie. Kościół pobłogosławił tę parę istot zgoła dla siebie nieodpowiednich, związek ich wszakże — szczęśliwie — nie zrodził potomstwa; jedyne wszak dziecko noszące nazwisko dziadka nie z jego było matrycy.

Przez kilka dni każdego miesiąca Kamilla cierpiała na maciczną wścieklicę, gdy wszakże dni te mijały, pozostawała apatyczną, obojętną, zimną w stosunku do wszystkich mężczyzn, a w szczególności w stosunku do swego męża.

Rychło zaznać miała upokorzenia, dowiedziawszy się, iż jedna z pomywaczek jest kochanką męża; czuła wstyd na myśl, że jakaś Służąca — woniejąca stajnią i pomyjami — o czerwonych rękach i brudnych paznokciach, pokrytej piegami twarzy i wielkim nochalą,

wydać mogła się lepszą od niej i, choć żywiła teraz dla męża niemal nienawiść, poczuła się jednak oń zazdrosna.

Co się tyczy dziecka, oddano je na wychowanie niańce, sama zaś matka nieczęsto miała okazję syna widzieć; darzyła go miłością dość kapryśną, w której wylewna czułość mieszała się z wyrzutami sumienia i wspomnieniem hańby; całowała go — z dziwną cierpkością — myśląc o mężczyźnie, który złamał jej życie, potem odpychała od siebie przypominając swój grzech.

Co dzień godzinami klęczała w kościele przed wizerunkiem świętego Sebastiana, a podczas menstruacji w uwielbieniu swym odchodziła niemal od zmysłów.

Wreszcie życie stało się dla niej nieznośnym, była coraz to bardziej niespokojna, coraz bardziej wyczulona, coraz drażliwsza, wszystko wyprowadzało ją z równowagi, drażnił boleśnie zmysły każdy dźwięk, każdy zapach, a każdego dnia wzmagała się w niej tęsknota za niosącym zapomnienie wiecznym spokojem. Wkrótce czuć zaczęła tęsknotę — jakiej wielu doznaje na widok przepaści — do wszystkiego, co stać mogłoby się przyczyną natychmiastowej śmierci. I dłużej już nie umiała opierać się tej powszechnej w naszym rodzie samobójczej manii.

Jako że cierpiała od dawna na bezsenność, wydała była polecenie, by rano nie zakłócać jej spokoju, dopóki sama nie zadzwoni po służącą. Pewnego dnia wszakże, gdy dłuższy czas nie słyszano jej dzwonka, służąca podeszła na palcach pod drzwi nasłuchując. Wydało jej się, że słyszy ciche jęki; zapukała delikatnie, a nie

usłyszawszy odpowiedzi — nieco głośniejszy; nadal jednak bez rezultatu. Spróbowała otworzyć, drzwi zamknięte były od środka. Przerazona poszła zawiadomić pana o swych obawach.

Wyważono zamek, pokój był pusty, w sąsiadującym wszakże z nim małym buduarze, obitym czarnym aksamitem, na niskim, tą samą materią pokrytym szezlongu leżała Kamilla; odziana w obcisłą suknię z czarnej gazy, nieruchoma, zsiniała, wyglądała jak posąg wyrzeźbiony na sarkofagu.

Choć żyła jeszcze — serce cichutko biło — nie można już było jej w niczym pomóc; doktor, wezwany w pośpiechu, wyznał, iż nauka jest tu bezsilna. Trwało to jeszcze kilka godzin, nim w końcu cicho zgasła. Na stoliku obok znaleziono pustą fiolkę po opium i adresowany do syna, opieczętowany manuskrypt, który wolno mu było otworzyć dopiero w przeddzień ślubu.

Pisany wzniosłym, kwiecistym stylem, manuskrypt pełen był pompatycznych słów, a zawierał pierwowzór niniejszej opowieści.

W dwa dni później — nie oplakiwaną przez nikogo i nie żalowaną — pochowano, zgodnie z życzeniem, w tym, co miała na sobie, wraz z całkiem już zeschniętymi przebiśniami, rozsypanymi na sukni, szezlongu i po całym pokoju.

Choć ona sama roiła sobie, iż stała się otyła, nieładna i zaniedbana, ludzie wciąż pamiętają ją jako kruchą eteryczną piękność. Co się tyczy przyczyny samobójstwa, upatrywano jej w cierpieniu nad męzowską niewiernością.

3

Moje dzieciństwo było nadzwyczaj nudne. Nie jestem pewien, czy pamiętam matkę, czy nie; gdy umarła, miałem bowiem niespełna dwa lata. Kiedy wysilę pamięć, wydaje mi się, że przypominam sobie, jak zabrano mnie do cichego ciemnego pokoju, w którym leżała uśpiona na szezlongu, że podsadzono mnie i kazano ją pocałować. Twarz matki biała była jak marmur i, zdawało się, równie zimna; toteż zetknięcie ciepłych warg z owym lodowatym ciałem wywarło na mnie niezatarte wrażenie. Wydaje mi się wszakże, iż wrażenie to przetrwało w mej świadomości, ponieważ wielokrotnie podobne szczegóły relacjonowano mi, a nawet prezentowano. Jest to więc jakby widmo przywoływanej pamięcią co jakiś czas myśli.

Do czasu, gdy skończyłem dziesięć lat, moje życie upływało w klasztornej niemal samotności. Mieszkałem w wielkim, przestronnym dwupiętrowym domu razem z moim ojcem i ciotką. Ojciec wszakże rzadko kiedy bywał obecny, poza tym, będąc w domu, też nie zwracał zbyt-

nio na nas uwagi. Ciotka wstawała zwykle bardzo późno i o jedenastej szła na mszę, toteż właściwie przed obiadem, to jest przed wpół do drugiej, nie widywałem jej. Miałem zabawki, ale nie miałem się z kim bawić. Przekarmiano mnie smakołykami, opychano słodyczami, ja jednak, będąc wszak pozbawiony ruchu, nie miałem apetytu, zwłaszcza na coś naprawdę posilnego.

Dni moje przeto upłynęłyby w monotonii, gdyby nie pewna zatruwająca mi życie przypadłość. Obsesyjnie bałem się pudli; były zaiste zmorą mego żywota. Inne psy nie robiły na mnie żadnego wrażenia, ale na widok pudła bladłem śmiertelnie i dygotałem cały mdlejąc niemal ze strachu. Choć właściwie nie nazwałbym tego strachem; to, co przyprawiało mnie nieledwie o mdłości, było raczej rodzajem obrzydzenia niż obawą przed niebezpieczeństwem.

Powiedziano mi, że matkę — gdy była brzemienną — wystraszył kiedyś pudel, którego chowała wówczas ciocia i który wkrótce potem zdechł; czyżby jednak zdarzenie takie, we wczesnych miesiącach ciąży, odcisnąć mogło aż tak silne piętno na płodzie? Inaczej jednak nie umiem sobie wytłumaczyć owej mojej słabości, ani bowiem ojciec, ani matka nie żywili do tej akurat rasy żadnych szczególnych uprzedzeń.

Dorastając próbowałem racjonalnie wykorzenić w sobie ową niechęć i nawet w znacznym stopniu mi się to udało; teraz umiem już z pewnym opanowaniem znieść widok jednego z takich psich clownów, pod warunkiem, że nie wyskakuje na mnie zniecka, co wszak się zdarza.

Bardzo niewiele pamiętam z tamtych lat, to zaś, co pamiętam, niewarte jest zgoła wzmianki.

Zadziwiająco jednak, jak głęboko zapadają w świadomość dziecka pewne banalne zdarzenia — nie dając się z niej wyprzeć — gdy inne, istotne, umykają jakoś i odchodzą na zawsze w niepamięć.

Mając jakieś cztery, pięć lat układałem, jak zwykle samotnie, klocki, budując, jeśli dobrze pamiętam,

wieżę. W tym samym pokoju uwijała się przy ciotczynej sukni młodziutka krawcowa. Dziewczyna ta —a była zapewne piękna — musiała mieć jakieś osiemnaście, dziewiętnaście lat, gdyż była już wówczas zaręczona, a wkrótce potem wyszła za mąż. To akurat dobrze pamiętam, bo w dniu ślubu przyniosła mi w papierowej torbie cukierków.

Zatem kiedy tak bawiłem się, krawcowa przerwała nagle pracę i spojrzała na mnie. Twarz miała rozpaloną, oczy błyszczące, usta krwistoczerwone.

— Chodź tu — rzekła do mnie. — Jesteś grzecznym chłopcem?

— Jestem — odparłem obojętnie.

— Więc chodź i daj mi buziaka; bardzo lubię grucznych małych chłopców.

Spojrzałem na nią zdumiony.

— No chodź — powtórzyła matowym głosem. Podszedłem do niej wreszcie. Ujęła moją twarz w obie ręce i całowała mnie przeciągle i z zapalem, z jakim nikt z pewnością do tej pory

mnie nie całował. Oczywiście — jak większość małych chłopców — nie czułem nic i z niechęcią przyjmowałem pieszczoty, zwłaszcza tego typu — o mało mnie nie udusiła.

— Jesteś bardzo grzecznym chłopcem, jutro przyniosę ci cukierki — powiedziała.

Potem, z wahaniem i po krótkiej pauzie dodała:

— A wiesz, gdzie ja trzymam wszystkie swoje łakocie?

— Nie wiem.

— Podejdź bliżej, kochanie, to ci zaraz pokażę — głos jej drżał.

Niechętnie posłuchałem. Wzięła wówczas moją rękę, ścisnęła mocno za nadgarstek, potem rozłożyła szeroko nogi i, zadarłszy spódnicę, wetknęła moją piąstkę między uda i wcisnęła głęboko w miękkie ciepłe ciało.

— Nie wiem, czy dzisiaj uda ci się coś znaleźć, ale szukaj dobrze, może jakiś się tam zapodział: bystry z ciebie przecie malec.

Zdumiałem się i zawstydzilem; choć nie umiałbym znaleźć powodu, czułem jednak instynktownie, że jest w tym jakaś nieprzyzwoi-tość. Już przeto chciałem wyrwać rękę, gdy powstrzymała mnie ciekawość.

To, czego dotykałem, było jednocześnie ciepłe, miękkie i wilgotne, a, co dziwniejsze, im głębiej zanurzałem rękę, tym było goręcej. Ku memu nieopisanemu zdziwieniu brzuch, a zwłaszcza okolice owego lepkiego miejsca, porastały gęste włosy.

Moje zdumienie było jeszcze większe, gdy, po dalszych badaniach, stwierdziłem, że w miejscu ptaszka i małego woreczka z dwiema kulkami ona miała coś jakby brodę.

Tymczasem — trzymając mocno rękę — pocierała moją piąstką gorące miejsce — powtarzając wciąż



tym samym matowym, zdyszany głosem, że mam szukać cukierków — aż poczułem, że zrobiło się tam zupełnie mokro.

Zapytałem, co robi, czy siusia mi na rękę, ale ona dyszała tylko jeszcze bardziej i jeszcze mocniej ścisnęła moje ramię.

— Och! — zakrzyknęła naraz z westchnieniem ulgi. — Już. Miło było, prawda?

Wytarła mi rękę o spódnicę albo o halkę i wyciągnawszy ją, podetknęła mi pod nos.

— Ładnie pachnie? — spytała.

Nie wiem, co na to odpowiedziałem i czy w ogóle jej odpowiedziałem, ale pamiętam ten dziwnie rybi zapach, który prześladował mnie potem przez cały dzień. Nigdy go nie zapomniałem i teraz, za każdym razem, gdy czuję w nozdrzach woń kobiecej piczy, przypominam sobie dziewczynę, którą masturbowałem.

— Śmiesznego mam kocurka, co? — powiedziała. — Nie chciałbyś go zobaczyć?

Zdaje mi się, że nic na to nie odrzekłem, tylko wpatrzyłem się w nią wielkimi okrągłymi oczyma.

W tym momencie rozległy się kroki, powiedziała więc szybko:

— Jak będziesz bardzo grzeczny, pokażę ci go kiedyś. Tylko pamiętaj, że to sekret, a ty jesteś przecie małym mężczyzną i musisz uważać, by nigdy nie zdradzać sekretów. Jutro przyniosę ci cukierki. A teraz, kochanie, idź się

bawić. — Co powiedziawszy, odsunęła mnie i zabrała się do szycia.

Wróciłem do swych klocków; bawiłem się, wachałem dłoń i przeżywałem jeszcze raz w myślach całe zdarzenie.

Oczywiście rozmyślałem jeszcze o tym przez czas długi, zadając sobie pytanie, czy rzeczywiście kobiety mają między nogami prawdziwego kocurka; prawdę mówiąc — jako że zawsze uwielbiałem koty — wiele byłbym dał wtedy, żeby móc go zobaczyć.

Wkrótce potem miało miejsce inne zdarzenie, którego — jakkolwiek nie należało ono do najmilszych wspomnień — nigdy nie miałem zapomnieć, albowiem erotyczne tematy i słowa czepiają się dziecinnego umysłu ze szczególną uporczywością.

Był gorący letni dzień i plątałem się, w braku zajęcia, po hallu, którego drzwi, wychodzące prosto na ulicę, były w tej chwili szeroko otwarte. Ciotka wyszła była, jak zwykle, na nieszpory, obiecując przynieść mi parę pięknych nowych butów, jeśli będę się pod jej nieobecność dobrze sprawować.

W hallu, nad drzwiami przeciwległymi do wejściowych, stał na półce z rozpostartymi skrzydłami wielki wypchany sęp. Ptak ten — jak wiecie — widnieje w naszym herbie, toteż od dziecka wpajano mi dlań rodzaj czci; czemu, doprawdy nie wiem. Mnie kojarzył się on zawsze z grabieżą i okrucieństwem.

Nagle, bawiąc się, odwróciłem głowę i ujrzałem stojących w progu dwóch chłopców; patrzyli na ptaka wymieniając głupawe uwagi

i śmiejąc się. Dwóch obszarpanych przybłędów, dwunasto-, może trzynastoletnich, w porównaniu ze mną małych mężczyzn.

Nie mogąc z progu dobrze się ptakowi przyjrzeć, postąpili parę kroków w głąb hallu. Byłem sam — część służby krzątała się po kuchni część na górze — mimo to stanowczym tonem rozkazałem włóczęgom wyjść z mego domu.

— To twój dom? — spytał starszy z nich drwiąco.

— Oczywiście, że mój — odparłem surowym głosem.

— Patrzcie no, *marmot* ma własny domek — rzekł młodszy i roześmiał się z niedorzeczności takiego stwierdzenia.

— Jazda stąd! — zakrzyknąłem czyniąc zamaszysty gest ręką.

— Twój dom, mówisz? — ciągnął wyższy wyciągając z podartych spodni siuraka i trzepiąc nim. — To też twoje, mały, chodź, możesz go possać.

— Pewnie tym zarobiłeś na dom, co? — rzucił ten drugi naśladując jednocześnie gesty kolegi i wybuchnął śmiechem. — Tak, kochanie?

Przyskoczyłem do nich rozwścieczony i widocznie złość sprawiła, że wydałem się im wcale srogi, bo rzucili się pędem do ucieczki.

Nie walcząc odniosłem zwycięstwo, obydwaj bowiem włóczędzy — dwa razy ode mnie wyżsi — umknęli spłoszeni moją furią; mimo to czułem się upokorzony, doszczętnie zdruzgotany. Odchodząc niemal od zmysłów z piekącego wstydu rzuciłem się na podłogę i wybuchnąłem spazmatycznym szlochem. Rychło znalazła

mnie tam moja niańka, która bezskutecznie usiłowała ze mnie wydusić, co się stało; wezwała całą służbę i wypytywała się, ale nikt nic nie wiedział ani też nikomu nie udało się wydusić ze mnie ni słowa, bo kiedy próbowałem mówić, przed oczyma stawał mi obraz starszego chłopaka, machającego drwiąco w moim kierunku obnażoną brązową żołądźką, i natychmiast traciłem mowę, dostając od nowa ataku spazmów.

Ich słowa: „To też twoje, chodź, możesz go possać” i: „Pewnie tym zarobiłeś na dom, co?” brzmiały mi potem bezustannie w uszach przez wiele dni. Słyszałem je nawet we śnie. Po raz pierwszy stwierdziłem wtedy w wieku czterech czy pięciu lat, że nie warto żyć, i w tamtym momencie śmierć przyjąłbym jako prawdziwe wybawienie; byłem tak nadwrażliwy, że wydało mi się ponad siły, by znieść tak potworne upokorzenie.

Po powrocie do domu ciotka wypytywała, co się stało, i powiedziano jej, że najwidoczniej musiałem wystraszyć się jakiegoś zbłąkanego pudła.

Przyniosła mi obiecane buciki. Pamiętam, po upływie lat ponad dwudziestu, że górę miały z brązowożółtawej koźlęcej skóry, a dół lakierowany.

W momencie, gdy niania włożyła mi je — ujrzałem — oczyma wyobraźni — starszego chłopaka, jak stoi przede mną, groźnie potrząsając swym instrumentem. Natychmiast uderzyłem w szloch.

— Spójrz tylko, jakie śliczne buciki — po-

wiedziała niania przymilnie. — Ciocia je dla ciebie kupiła, są *twoje*.

Wydało mi się, jakby umyślnie położyła akcent na słowie wypowiedzianym z takim naciskiem przez chłopaka z ulicy; pomyślałem, że chce mi dokuczyć. Począłem więc kopać z całych sił, albowiem buty wydały mi się nagle wstrętne i nie chciałem ani chwili dłużej mieć ich na nogach. Co więcej — od tamtej pory — powziąłem niechęć nie tylko do tego fasonu butów, ale i do ludzi, którzy je noszą.

Mimo iż — po kilku dniach — zdołałem pokonać w sobie wstręt do życia, nigdy jednak nie zapomniałem owego trywialnego przecie zdarzenia.

Innym zajściem, które przykuło w tym samym czasie moją uwagę, był pewien szczególny akt kopulacji psa z suką. Gdy ujrzałem zadziwiający ten widok, stałem akurat w oknie jadalni.

Okna domu — jak wiecie — wychodziły na coś w rodzaju wielkiego podwórza, a jako że to, co się tam działo, budziło zawsze moje najwyższe zainteresowanie, spędzałem wiele godzin na obserwacjach.

W czasie, o którym mówię, właściciel jednego ze straganów chował sukę — zwierzę dość szczególne, z wieloma długimi, cienkimi wymionami — której nie sposób było nie zauważyć, zważywszy fakt, że napastowały ją cały czas wszystkie okoliczne kundły. Gdy owego dnia podszedłem do okna, ujrzałem sukę i jakiegoś drugiego psa szczepionych, jak się wydawało, ogonami i nie mogących się rozdzielić.

Nieszczęsne stworzenia czekały żałośnie, ponieważ dzieci *cet âge est sans pitié* — rzucały w nie kamieniami.

Był to rzadki widok, zwołałem więc wszystkich, żeby czym prędzej przyszli się przyjrzeć. Niania, dojrawszy psy, porwała mnie, trzepnęła solidnie dłonią i wyganiając od okna powiedziała, że jeśli jeszcze raz będę patrzył na takie rzeczy, to wypadną mi oczy.

Zacząłem się zastanawiać. W czym niby zawiniłem? Nie ja związałem psom ogony; i dlaczego na ich widok miałbym stracić oczy?

A może psy wcale nie były związane, może — kombinowałem — wetknęły jeden drugiemu ogony do zadków — ot tak, dla zabawy; czemuś takiemu, rzecz jasna, nie należało się przyglądać. Zagadkę tę rozwiązałem dopiero wiele lat później.

Gdy miałem około lat dziesięciu, ojciec mój posłał mnie do szkoły. Nie mając nigdy wcześniej rówieśników za towarzyszy zabaw, nieśmiały byłem jak dziewczynka i, z tej przyczyny, prześladowany bezlitośnie i wyśmiewany. Mniejsi chłopcy przezywali mnie „mademoi-selle”, starsi dręczyli. Mieli zwyczaj napadać na mnie od tyłu i, schwyciwszy mocno, walić podbrzuszem w mój tyłek, pytając, jak mi się to podoba. Pękali przy tym ze śmiechu. Nie rozumiałem, rzecz jasna, o co im chodzi, ale czułem, że w ich słowach kryje się jakieś niepojęte dla mnie znaczenie. Pąsowiałem jednak, intuicyjnie przeczuwając w tym, co robią, jakąś nieprzyzwoitość.

Po jakimś czasie nawiązałem w szkole z jed-

nym z kolegów wielką przyjaźń i on wyjaśnił mi, czego ci nieokrzesañcy ode mnie chcieli. On też powiedział mi któregoś dnia, w wielkim sekrecie, że dziewczynki nie mają, tak jak my, ptaszka.

\_ Oczywiście, że nie — odparłem, dumny, że mogę wykazać się swoją wiedzą — mają tam kocura.

— Co takiego? — zapytał osłupiały.

— No, kocura, z takim miękkim futerkiem. Wybuchnął głośnym śmiechem, szczerze rozbawiony moim osobliwym pomysłem.

Czułem się dotknięty jego głupawym śmiechem i próbowałem protestować, ale bezskutecznie.

\_ Nie, nie — powiedział — mylisz się, możesz, jeśli chcesz, nazwać sobie ich dziurkę kocurem, ale zapewniam cię, nie mają tam żadnego futerka.

Spojrzałem na niego z wyższością i zamierzałem odejść.

Nie miałem ochoty udzielać mu wyjaśnień odnośnie do źródeł mej wiedzy, bo, choć nigdy nie widziałem, co kobiety mają między nogami, to jednak przecie czułem pod ręką puszystą sierść, a to wystarczy.

Pojąwszy jednak, że twardo obstawać chcę przy swoim zdaniu, skorzystać postanowił z pierwszej nadarzającej się okazji, by mi dowieść mylności poglądów.

Zdarzyło się, wkrótce po tej rozmowie, że siedzieliśmy w jego ogrodzie, za rozłożystym krzakiem agrestu, rozprawiając w naszej małej liściastej kryjówce na tematy erotyczne.

Słyszając nagle głos młodszej siostry kolega zawołał ją, potem schwyciwszy mocno rzucił na trawę, zadarł jej spódnice i odchylając majtki zaprezentował mi różowe ciało między jej udami, ową maleńką szparkę obrzeżoną dwiema bladymi wargami, coś jakby wydłużone usta, które wykrzywiały się, kiedy dziewczynka wierzgała, próbując uwolnić się z jego uścisku.

Nie zważając na to brat usiadł jej okrakiem na brzuchu i koniuszkami palców rozchylił wargi.

Kucnąwszy zajrzałem w głąb i zdumiałem się widząc liczne fałdy żywego ciała.

— Sam widzisz — rzekł kolega — że dziewczyny nie mają żadnego futerka.

Musiałem skapitulować, trudno było przeczyć faktom.

— Wsadź palec, zobaczysz, jak tam mokro — zaproponował.

Z ochotą kontynuowałbym swoje badania ale dziewczynka piszczeć zaczęła tak przeraźliwie, że musieliśmy ją puścić.

Od tej chwili, z chłopcami i dziewczynkami w tym samym mniej więcej wieku, porównywaliśmy często obserwacje, mierzyliśmy, czyj siurak jest najgrubszy i najdłuższy, czyj najbardziej odsłonięty, a przede wszystkim, kto potrafi najdalej i najwyżej sikać. Z tryumfem patrzyliśmy, jak strumień tryska w górę na wysokość głów, rozpryskując się w słońcu niczym prawdziwe orientalne topazy. Wiem, że dziewczyny zazdrościły nam naszych wyczynów; ale przecie one z kolei robiły, czego my nie mogliśmy-napychały sobie szparki kamykami, do czegoż to bowiem nie jest zdolna ludzka próżność.



Innym rozkosznym przeżyciem było kłaść sobie jakąś dziewczynę na kolanach, zdzierać jej majtki i plaskać ją po pośladkach, póki ręka i te dwie nieruchome półkule nie zrobiły się czerwone jak maki, gorące jak piec, i póki parzyć nie zaczęły z bólu; odgłos owych plaśnień sprawiał nam niepojętą jakąś przyjemność, mizerne nasze kuśki niemal stawały dęba. Rozrywka ta stała się wszakże początkiem i przyczyną wszystkich moich problemów w późniejszym życiu.

Któregoś dnia przeszkodzono nam w samym środku zabawy. Pamiętam wszystkie najdrobniejsze szczegóły owej sceny, jakby zdarzyło się to wczoraj; zamknąwszy oczy i potarłszy lekko powieki, przywołuję zaczerwienione od podniecenia twarze kolegów.

Był ciepły wiosenny dzień; siedzieliśmy w naszej ulubionej kryjówce w starym ogrodzie, na porośniętej trawą, obsypanej stokrotkami ścieżce, między dwoma rzędami krzaków agrestu. Po obu stronach mieliśmy ścianę błyszczących zielonych liści, nad głowami gałęzie starych czereśni pokryte pąkami białego kwiecica i małymi zielonkawymi lub brązowawymi listkami i za każdym razem, gdy splątanymi gałęźmi wstrząsnął lekko świeży pachnący wietrzyk, spadał na ziemię śnieg wirujących delikatnych płatków; jakby fruwały nam wokół głów, ścigając się, białe motyle. Wśród gałęzi i w krzakach przyśpiewywały ptaszki; jedne zawodziły przeciągle, zalotnie, inne ćwierkały z zapalem oszalałe z uciechy, jeszcze inne dodawały do tego krótkie rwane nutki, a wszystko

harmonijnie zlewało się w wielki koncert, któremu rytm wymierzało z wolna dostojne kukanie kukułki.

Mój kolega kucał właśnie na dani przerzuciwszy przez kolana przyjaciółkę siostry. Zadarł jej białą spódniczkę i szybkim ruchem zsunął batystowe majtki, obnażając dwie krągłości ciała — przypominały wielki przepołowiony melon, z tą różnicą, że zamiast pomarańczowożółtych, były raczej blad różowa we.

Budząc powszechny zachwyty rozchylił szeroko owe dwie półkule i oczom naszym ukazała się maleńka brązowa dziurka, w którą chłopak natychmiast wciskać jął palec. Otwór najwidoczniej był jednak zbyt mały, bo gdy — mówiąc, że zatyka „gaik” — wepchnął tam wskazujący palec, biedne dziecko wrzasnęło z bólu.

— *Sotte* — rzekł i wyciągnąwszy palec wymierzył jej tak mocnego klapsa, że białe ciało zaróżowiło się i na skórze pozostało purpurowe odbicie pięciu palców. Uderzenie było zbyt silne i nieoczekiwane; dziewczynka wydała słaby okrzyk, na co wszyscy klasnęliśmy w dłonie z niewymownej uciechy.

— Miauczysz, kotku, co? — rzekł podekscytowany i natychmiast wymierzył jej drugiego klapsa, tym razem znacznie silniej. Dziewczynka wydała przenikliwy pisk, co wywołało w nas taką radość, że aż skakać poczęliśmy niby w jakimś dzikim tańcu.

Nieoczekiwanie wyrosła na końcu kwiecistej alejki, jak spod ziemi, starsza siostra kolegi, osiemnastoletnia panna, trzymając pod rękę młodzieńca, z którym była zaręczona. Na drugim zaś końcu ujrzeliśmy w tej samej chwili jego ciotkę; osoba ta — stara, koścista i zasuszona, prawdziwy Matuzalem w spódnicy, a ponura przy tym i wielce zasadnicza — uważała nas zawsze za zgraję diabłów.

Wyobraźcie sobie, jak idiotyczne musieliśmy mieć miny, gdy cała trójka zobaczyła nas tak, stojących z siurakami w ręku i tryskających jak się dało najwyżej.

Kolega dostał baty od razu, my — jego goście — zostaliśmy odesłani do domu, popadając, rzecz jasna, w ciężką niełaskę.

W domu ojciec stłukł mnie na kwaśne jabłko, ciotka wygłosiła długą lekcję, niania zrobiła karczemną awanturę.

Powiedziała, że uschną mi ręce, jeśli jeszcze raz będę się bawił swoim ptaszkiem, bo Pan Bóg — Wszystko widzący Szpieg — zawsze wie, kiedy mali chłopcy robią takie brzydkie rzeczy. Przeklina ich jeszcze na ziemi, a potem — jako że skrzętnie zapisuje w swej wielkiej księdze każdy uczynek — posyła po śmierci do piekła, gdzie bez końca, wespół z robakami, wić się będą w płomieniach.

— Z pudłami? — zapytałem.

— Naturalnie — odrzekła.

Potem, by słowa jej większe wywarły na mnie wrażenie, pokazała mi obrazki przedstawiające grzeszników wijących się w bezdennej piekielnej otchłani.

Wreszcie wysłano mnie bez kolacji do łóżka, gdzie — kiedy wreszcie udało mi się zasnąć — majaczyłem w gorączce całą noc, wyobrażając sobie, że pędzę co sił w nogach, by umknąć

przed zawziętym Jehową — który ściga mnie ze szpicrutą — i potykam się co chwila na tych zawrotnych wysokościach. Zbudziwszy się nagle uprzytomniłem sobie, że jestem w łóżku. Nieprzytomny ze strachu, z nieczystym sumieniem, osamotniony bez matki i właściwie bez ojca, czując — po chrześcijańsku, zgodnie z tym, jak mnie wychowano — że wstyd przynoszę sobie i wszystkim, którzy mnie znają; znieawidzony przez Boga i człowieka za swe rozliczne grzechy — zapragnąłem umrzeć i, jak sądzę, targnąłbym się na swe życie, gdybym tylko wiedział, jak to uczynić. Ciotka, mając mnie już powyżej uszu, wykorzystwała to jako dobrą sposobność, by zrzucić z siebie odpowiedzialność za dalszą mą edukację, i przekonała ojca, ażeby wysłał mnie do jakiejś szkoły z internatem.

Dotąd, plamiąc się występkiem, czyniłem to nieświadomie i bez złej woli. Znalazłszy się w owym siedlisku zepsucia — francuskiej szkole z internatem — niebawem nauczyć się miałem wszystkich sekretów życia, choć przecie — jakkolwiek zabrzmiałoby to niewiarygodnie — nie od szkolnych kolegów. Nie umieszczono mnie — z kilku powodów — razem z innymi chłopcami. Po pierwsze byłem jeszcze mały; po drugie, nie było wolnego łóżka; po trzecie, opowiedziano mą historię dyrektorowi, prosząc go, by zechciał mieć szczególne baczenie na moje postęпки; przedstawiony zostałem jako czarna owca o jak najgorszych skłonnościach. Dlatego też sypiać musiałem w sali jednej z opiekunek, męskiej w typie tęgiej

kobiety, dobrze już posuniętej w latach. Salę dzielił wszakże na dwa osobne pomieszczenia parawan. Pewnej dusznej letniej nocy obudziłem się rozpalony i z uczuciem gorączkowego pragnienia wstałem, by poszukać szklanki z wodą. Pokój rozświetlony był promieniami księżyca w pełni, a także już bladym światłem wczesnego brzasku. Na nocnym stoliku przy moim łóżku nie było wody, przeszedłem więc do części wychowawczynie, by sprawdzić, czy nie znajdę parę kropli u niej. Leżała na plecach odkryta, z nogami rozłożonymi szeroko, z podniesioną koszulą, podbrzusze całkiem mając obnażone. W tym bladym bursztynowym świetle ciało jej wydawało się białe i gładkie niczym wyrzeźbione w kości słoniowej. Miałem niemal ochotę przejechać po nim dłonią, gdy nagle wzrok mój padł na ciemne runo pokrywające w połowie jej uda i dochodzące u góry prawie do pępka. Byłem tak bezmiernie zdumiony, że zapomniałem o pragnieniu, przyczynie, dla której wstałem z łóżka; przez chwilę stałem wpatrując się w nią szeroko otwartymi oczyma.

Ta kobieta miała kocura i nie mogło być co do tego wątpliwości. Jakże pragnąłem, by mój kolega był tam w tej chwili ze mną, przekonałbym go o słuszności mej opinii, albowiem, jakkolwiek małe dziewczynki — z zasady — nie miały dokoła szparki włosów, kobiety miały tam wszak prawdziwe wełniane runo.

A jednak wciąż uwierzyć nie mogłem własnym oczom, niepodobieństwem wydawało się, by mieć mogła w tym miejscu tyle włosów, nie

mając brody — jakkolwiek, owszem, czernił się jej lekki wąsik.

Wychowawczyni spała twardym snem, chrapiąc rozgłośnie, pomyślałem przeto, że mógłbym sprawdzić, czy jest to naturalny zarost, czy też może tylko rodzaj śliniaczka, zakładanego dla przykrycia wstydliwych miejsc. Przesunąłem lekko drżącą ręką po sierści; była długa, skrecona i kędzierzawa; wyglądało na to, że tam istotnie rosła. Z gardła opiekunki nie przestawał dobywać się hurkoczący odgłos: schwyciłem więc jeden czy dwa włoski i pociągnąłem lekko. W tym momencie sapnęła nagle, poruszyła się i położyła rękę na mojej. Uciekłem z dłonią i w mgnieniu oka, bezszelestnie, dałem nura pod łóżko.

Guillaume — ozwała się, wyciągając przez sen — jak mi się zdawało — ramiona. A po chwili: — Guillaume, gdzie jesteś?

Oczywiście milczałem. Po skrzypnięciu łóżka poznałem, że obróciła się na drugi bok. Rychło spała znów snem kamiennym, nie chrapiąc, co prawda, ale wydając z siebie rytmiczne sapanie.

Już miałem opuszczać swoją kryjówkę, gdy usłyszałem nagle cichutki hałas: ktoś przekręcał w drzwiach gałkę. Otwarły się bez najmniejszego skrzypnięcia.

Przywarłszy na- brzuchu do ziemi dojrzeć mogłem jedynie bose nogi stojącego w progu mężczyzny. Drżałem i trząłem się cały. Wywnioskowałem, ma się rozumieć, że musi to być włamy-

wacz, który przyszedł nas zamordować. Nie zwróciło jakoś mojej uwagi, że mężczyzna był w nocnej koszuli. W pierwszym odruchu chciałem krzyczeć; ale strach i instynkt samozachowawczy powstrzymały mnie.

Gdybym miał był miecz, mógłbym odciąć mu obie stopy i powalić go na ziemię.

Mężczyzna podszedł ku łóżku i zatrzymał się na chwilę.

Cóż on tam robił? Serce waliło mi potężnie. Może dusił opiekunkę jej własną poduszką, tak jak to uczyniono z królewną na wieży? Rychło uszu mych dobiegł jakiś dźwięk — ale jakże był podobny do pocałunku — potem następny i jeszcze następny.

Nie, nie mogłem się mylić.

— Och! Guillaume, to ty? Więc przyszedłeś.

Po tych słowach przesunęła się na jedną stronę łóżka, jakby robiąc mu miejsce.

W takim razie, pomyślałem, ten mężczyzna nie jest włamywaczem; co więcej, spodziewała się go.

Ale któż to być może?

W szkole było co najmniej kilku Guillaume'ów; jeden w grupie starszych chłopców, jeden wśród niższych rangą wychowawców i barczysty służący z Owernii — wszyscy na imię mieli Guillaume, ale który to z owych Wilhelmów mógł być zdobywcą? I czy możliwe, by którykolwiek czuł dla tej starej megierki tyle sympatii i zakradał się do pokoju jak złodziej po to tylko, iżby ją mógł pocałować?

Wyrwał mnie z tych rozmyślań widok znikających nagle bosych stóp Guillaume'a i po od-

głosie, jaki wydał materac — wyraźnie ugiął-szy się pod ciężarem — domyśliłem się, że mężczyzna położył się był na łóżku matrony.

Nastąpiła chwila ciszy; wprawniejsze ucho wyłapałoby może odgłos napinanych mięśni, obłapiania się nagich ciał — nie moje. Potem dobiegły mnie tłumione mlaśnięcia pocałunków i urywana, ściszonymi, matowymi głósy prowadzona rozmowa.

O czymże tak rozprawiali? Natężyłem słuch, ale nie mogłem wyłowić najmniejszej sylaby.

Niebawem materace skakać poczęły w rytm cichego, melodyjnego skrzypienia łóżka. Najwidoczniej akompaniament ten nie był mile widziany, bo próbowali poprawić drewnianą ramę, tak by przestała skrzypieć; ani jednak skrzypienie, ani przekleństwa na nic się zdały, przeciwnie, hałas wzmógł się jeszcze. Teraz rozbrzmiewała już regularna kadencja pchnięć poprzedzanych plaśnięciem — coś jak miarowe ugniatanie ciasta — zaznaczająca się w interwałach dźwiękiem przypominającym odgłos wyciąganego z bagna końskiego kopyta.

Najśmielsze nawet moje przypuszczenia zbyt były mgliste, bym mógł domyślić się, czym ci dwoje byli tak pochłonięci.

Stopniowo skoki owe i opadnięcia nasilały się w czasie i w mocy. Z adagia przeszły w presto, potem prestissimo. Umierałem ze strachu wyobrażając sobie, że łóżko zapadnie się nagle i mnie zgniecie. Wczołgałem się przeto w najdalszy kąt, gotowy w chwili najmniejszego zagrożenia szybko się wyślizgnąć.

Po chwili usłyszałem, jak opiekunka szep-



tem nakazuje Guillaume'owi, by uważał, bo może zbudzić hałasem *marmot* — to jest mnie.

— Do diabła z tym bękartem — mruknął zdobywca — mogliby zabrać go wreszcie z twojego pokoju. Po tych słowach głucho dudnienie wzmoгло się jeszcze, a towarzyszyło mu teraz sapanie i dyszenie, pomieszane z odgłosami jakby tarcia

O siebie dwóch wijących się ciał — w ekstazie raczej niż w bólu — a do tego wszystkiego dochodziło dziwne jakieś gruchanie.

Nagle rozbrzmiał jego tłumiony *sotto voce*: — Dochodzę już, och! — 'i zaraz głośniejszym, niemal histerycznie: — Dochodzę! — a po krótkiej pauzie donośniej jeszcze, drżącym głosem: — Ach, doszedłem. — Potem znowu sapanie, kilka sekund ciszy — podczas których zadawałem sobie pytanie, dokądże też Guillaume doszedł,

I na koniec usłyszałem wypowiedziane tonem bezgranicznego zadowolenia zdanie:

— Ach, nie ma w życiu nic piękniejszego nad dobre rżnięcie!

Jakże ogromne słowa te wywarły na mnie wrażenie. Powtarzałem je sobie bez końca i przez wiele dni potem dźwięczały mi jeszcze w uszach.

Odkryłem zatem, czym siostra i Guillaume zajmowali się: rżnięciem! Tak, ale cóż to znaczy? Nieraz słyszałem, jak prostacy ludzie mówili „urżnięty” o kimś, kto za dużo wypił. Ale me był to przymiotnik najelegantszy. Czasem też zdarzało się w szkole „zerżnąć” od kogoś zadanie: i w tym przypadku też lepiej, jeśli użyło się

słowa „odpisać”. Można, rzecz jasna, rznąć drzewo, można się urznąć w palec, a „zerznąć” kogoś oznacza - tak mi się przynajmniej zawsze zdawało — złoić mu skórę. Jakże więc ktoś mógł uważać, iż „nie ma w życiu nic piękniejszego nad rżnięcie”?

Po dłuższej pauzie mężczyzna dodał:

— Ale ty nie miałaś przyjemności, co?

Teraz gdy Guillaume przemawiał swym naturalnym głosem, byłem niemal pewien, że jest to ów młodszy wykładowca.

Matrona odparła mu:

— Nie, od kiedy spadł na mnie dopust boży w postaci tego bękarta, nie umiem się rozluźnić i to psuje mi całą zabawę.

— Rzeczywiście jest zawada.

— Cały czas cierpnę ze strachu, że w końcu się obudzi i dopiero będziemy mieli ambaras.

— Alez on śpi jak zabity.

~ Nie byłabym tego taka pewna, to mały spryciarz. Dam głowę, na przykład, że przed twoim przyjściem czułam na łonie czyjąś rękę

Nadstawiłem ucha. „Na łonie”! A więc pomyślałem, futerko dokoła szpary nazywa się łono, a nie, jak mówiła krawcowa, kocur.

— I co potem? — spytał Guillaume.

— Nic; pomyślałam tylko, że to ty.

A może — kontynuowałem swój wewnętrzny monolog — istnieją na jedną rzecz dwie nazwy, tak samo przecie niektórzy chłopcy nazywają ptaszka fiutem. — Tak czy inaczej powtarzałem sobie nowe słowo, by go przypadkiem nie zapomnieć.

— I nie poszłaś sprawdzić, czy jest w swoim

łóżku? — drażył dalej wykładowca, nie mogąc wyzbyć się nawyku zadawania w nieskończoność pytań.

— Nie, odwróciłam się na drugi bok i zasnęłam.

— Więc pewnie ci się to śniło.

— Pewnie tak.

Potem znów się całowali i znowu skrzypiało łóżko; wreszcie ona odezwała się:

— Nie, nie, idź już lepiej, prawie świta, przyszedłeś dziś tak późno.

— Tak, też trochę przysnąłem.

Znowu pocałunki, potem on wstał, zrobił jej coś, nie wiem, co i od nowa poczęli się całować.

— Pa, pa — do przyszłej środy — rzucił w końcu na pożegnanie.

— Do środy — odrzekła, przeciągając się sennie na łóżku.

Mężczyzna podszedł do drzwi na palcach, otworzył je bezszelestnie i rzuciwszy szybkie spojrzenie na prawo, potem na lewo, wysliznął się z pokoju.

Ze swej kryjówki mogłem widzieć go bardzo wyraźnie i teraz nie miałem już wątpliwości: był to istotnie młodszy wykładowca, uczył w szkole historii i matematyki.

Wydało mi się cokolwiek dziwnym, iż matrona nazywała go Guillaume, podczas gdy wszyscy zwracali się doń zawsze „Panie Derieux”, ale tyle innych rzeczy dokoła zdumiewało mnie, że rychło zapomniałem o tym incydencie.

Poczekalem jeszcze chwilę i usłyszawszy, że matrona chrapie — zawsze przez sen chrapała — wyslizgnałem się z ukrycia, obszedłem

parawan na czworakach i wskoczyłem do łóżka Wkrótce też zasnąłem.

Gdy się zbudziłem, było już późno i opiekunka szarpała mną, by mnie wyrwać z ciężkiego snu. Ale co to ona do mnie mówiła? Słyszałem tylko: „Nie ma w życiu nic piękniejszego nad dobre rznięcie”, i, zdaje mi się, powtórzyłem nawet te słowa bełkotliwym, sennym językiem.

- Wstawaj, już pozno! – szarpała mna wciąż.

Otwarłem oczy, matrona stała przy mnie zamiast wszakże twarzy zobaczyłem jej wielkiego kocura i jak nakręcony mrucałem w kółko pod nosem wyżej wspomniane zdanie Musiałem chyba wpatrywać się w nią wielkimi, zdumionymi oczyma, bo stara wyraźnie się zmieszala.

— Co cię tak dziwi? — zapytała.

— Och, nie, nic!

A jednak dziwnie mi się przyglądasz — nalegała przymilnym tonem.

— Ja... chyba coś mi się przyśniło.

— Co takiego, kochanie?

— Ja... chyba już nie pamiętam.

— Jednak spróbuj sobie przypomnieć. Kusiło mnie, by ją zapytać, ale nie śmiałem

— No drogie dziecko, postaraj się, proszę.

Zawahałem się chwilę, potem, gnębiony ciekawością i zachęcony jej czułymi słówkami za-cząłeni drżącym głosem, serce mając w gardle

— Pani Lachand...

— Tak, kochanie?

— Mogłaby pani mi powiedzieć, co to jest rznięcie?

Nigdy nie zapomnę tej nagłej zmiany w wyrazie jej twarzy. Jeszcze przed chwilą słodka, dobrodusznna, czuła, wykrzywiła się teraz ohydnie i poczerwieniała z gniewu.

Podniosła rękę i trzepnęła mnie, aż świsnęło, po czym wysyczała:

— Ty wstrętny mały szpiegu! Czekał no, już ja ci pokażę, co to rżnięcie! — Po tych słowach odwróciła mnie i podciągnawszy do góry koszulę, zaczęła mi bezlitośnie spuszczać baty, a im dłużej biła, tym większą sprawiało jej to przyjemność i tym boleśniesz stawały się jej razy.

— Myślę, że powinieneś być usatysfakcjonowany i że na jakiś czas ci to wystarczy. Ale następnym razem, jak o coś takiego zapytasz, nie dostaniesz w skórę, tylko wezmę cię za uszy i tak jak stoisz, w nocnej koszuli, na oczach wszystkich chłopców zaciągnę prosto do pokoju dyrektora. Wiemy, co z ciebie był za ptaszek, nim tu przyszedłeś; dyrektor nie będzie się długo namyślał, od razu wyrzuci cię ze szkoły.

Oczywiście w czasie tej przemowy łkałem żałośnie, kilka więc razy potrząsnęła mną, bym się uspokoił, i dopiero ciągnęła dalej:

— Powiesz jeszcze raz coś takiego, a zobaczysz, uschnie ci język. Nie wiesz, ty niewdzięczne dziecko, że Bóg płacze słysząc z twoich ust takie słowa? A jesteś chyba na tyle duży, by rozumieć, że jeśli dobry Bóg płacze przez ciebie, to w swym gniewie może sprawić, że umrzesz na wieki.

Wieków amen — dodałem w myślach.

Jej kazanie i moje szlochły przerwał nagle dźwięk trąbki. Trąbiono po raz drugi, powinienem był więc być już uczesany, wymyty i gotowy, by zejść wraz z innymi na poranną naukę.

Opiekunka zamoczyła mi głowę w miednicy, prosząc nerwowo, bym zapomniał to okropne słowo, i zapewniając, że tym razem o niczym nikomu nie powie; potem pomogła mi włożyć brudny mundurek.

Pośpiech na nic się nie zdał, byłem spóźniony dwadzieścia minut, co odnotowano, zadając mi do przepisania w czasie wolnym od zajęć pięćdziesiąt linijek.

Byłem otepiały, rozstrojony, przybity, ledwo doszedłem do siebie po otrzymanych razach, nic więc dziwnego, że na tę wiadomość znów zacząłem beczeć.

Poza tym podle czułem się ze świadomością, że jestem tak z gruntu zły, iż każde moje słowo, każdy uczynek łzę wyciska Ojcu w niebiesiech i cud to prawdziwy, że jeszcze nie wypadły mi oczy, paraliż nie chwycił rąk, nie usechł język. Uczułem nagłą samotność i tęsknotę za prawdziwym domem, za odrobiną miłości, jednym dobrym słowem.

Dlaczego matka musiała zabić się zostawiając mnie samego na świecie?

Myśl ta pociągnęła za sobą następne.

— A może — powiedziałem do siebie — ona nie знаła tej najpiękniejszej w życiu rzeczy? —

Próbowałem nie myśleć -o słowie „rżnięcie”, ale usta wypowiedziały je mimo woli. Pewnie, tak jak ja, nie znała tej przyjemności i dla

tego życie wydawało jej się niewarte złamanego szeląga.

Gdyby się zastanowić, nie byłemż największym w całej szkole nieszczęśnikiem? Chłopcy dokuczali mi, bo sypiałem w pokoju matrony, i zadawali mnóstwo idiotycznych pytań. Jej z kolei psułem całą zabawę; właściwie od chwili urodzenia cały czas wchodziłem komuś w drogę, byłem ciężarem sobie i wszystkim, którzy mieli ze mną cokolwiek do czynienia.

Dzień włókł się nieznośnie i choć lekcje miałem przygotowane, byłem tak rozkojarzony i nieobecny, że za każdym razem odpowiadałem źle. W efekcie dostałem następne dwieście linijek kary.

Było mi tak ciężko na duchu, iż z ulgą przywitałem nadejście nocy; łóżko — postrach każdego dziecięcia — wydało mi się nagle bezpieczną przystanią. Jakkolwiek planowałem czuwanie, by sprawdzić, czy coś się wydarzy, ledwie przyłożyłem znużoną głowę do poduszki, już spałem.

Musiałem lekko drzemać, bo przebudziłem się, gdy weszła matrona, i potem znowu, gdy układała się do spania. Na wpół przez sen słyszałem, jak zegar wybija pierwszą, wreszcie uszu mych dobiegł cichy hałas: ktoś otworzył drzwi i wszedł do pokoju.

Mimo całej ciekawości nie miałem odwagi się odwrócić ani nawet ruszyć; byłem pewien, że matrona nasłuchiwać będzie, czy zasnąłem.

Wydała z siebie jakby ciche syczenie i wyskoczyła z łóżka.

Mężczyzna zatrzymał się w pół drogi.

— Czy to ty, Guillaume? — spytała szeptem.

— Tak — odparł mężczyzna półgłosem.

Leżałem na brzuchu cicho jak myszka, z twarzą zwróconą ku ścianie. Mimo młodego wieku miałem już na tyle sprytu, by domyślić się, że wstała z łóżka, żeby sprawdzić, czy zasnąłem. Nie chcąc się pakować w dalsze kłopoty, a jednocześnie podnieconym będąc nadarzącą się właśnie możliwością sprawdzenia, co to takiego „rżnięcie”, oddychać jałem powoli i miarowo, sapiąc nawet od czasu do czasu, jak to czynią śpiący. Pogłaskała mnie lekko, wypowiedziała moje imię, zapytała, czy nie chcę siusiu, a widząc, że nie drgnąłem nawet, uznała, iż — jak to piszą w łacińskich książkach — jestem już w objęciach Morfeusza. Zostawiła mnie przeto i poszła przywitać się z Guillaume'em, który — jak mniemam — stał przez cały ten czas w progu.

Gdy tylko znaleźli się blisko siebie, szeptać poczęli owym cichym, matowym, trochę jakby nosowym tonem, nie mogłem jednak dosłyszeć,

o czym. Stopniowo ożywiali się coraz bardziej

1 ton ich rozmowy stawał się coraz głośniejszy, lecz gdy słuchałem ich, nie wydawało mi się wcale, iżby głos męski należeć miał do pana Derieux, jakkolwiek ten Guillaume — kimkolwiek był — mówił głosem równie lubieżnym, co ów poprzedni.

Ale cóż oni mogli tyle czasu tam robić? Obróciwszy głowę wyteżyłem wzrok.

Stali teraz blisko siebie całując się. Ona trzymała jego fiuta i — zdaje się — masowała go. On zadarł jej koszulę i rękę wsunął między nogi. Głaskał pewnie jej kocura.



Obróciłem trochę bardziej głowę i teraz, gdy widzieć mogłem ich wyraźnie, nie miałem już wątpliwości: nie był to Guillaume Derieux, młodszy wychowawca, ale Guillaume Chrétien, starszy wykładowca, młody Marsylijczyk w wieku lat siedemnastu, najzawziętszy ze wszystkich nauczycieli. Wyglądało na to, że dobrze się bawią, zadawałem więc sobie pytanie, czy to już może jest rżnięcie, czy dopiero przygotowania. Zabawiali się tak jeszcze chwilę, potem zniknęli mi z oczu za parawanem i najwyraźniej — sądząc po odgłosach — weszli razem do łóżka.

Przez chwilę panowała cisza, tymczasem ja zacząłem się zastanawiać.

Jak to jest, że dobry Bóg — którego tak do głębi oburza zachowanie dzieci — nie sprzeciwia się wcale, by taka matrona kładła się każdej nocy z innym Williamem?

Czyżby na ich psoty przymykał oko uśmiechając się pobłaźliwie?

No a jeśli płakać musi stale z winy niedobrych dzieci i dorosłych folgujących sobie w sprośnościach, to jego życie też niewarte jest złamanego szeląga.

Tymczasem tamtych dwoje w łóżku powtarzało zabawę, której byłem już świadkiem zeszłej nocy.

Zrazu wolniutko rozkręcali się, niczym puszczone dopiero co. w ruch maszyna parowa: po kilku wszakże suwach tłok gwałtownie przyspieszył tempa.

I znów rozbrzmiały znane mi odgłosy tarcia, te same nieartykułowane sapnięcia, nerwowe, szarpane wdechy i pełne ulgi wydechy, nawet

to samo chropawe gruchanie — a wszystkiemu, jak uprzednio, akompaniowały skaczące rytmicznie materace i skrzypienie nadwerężonych ram drewnianego łóżka.

Musieli mieć z tej zabawy sporo uciechy — bez potrzeby przecie nie zadawaliby sobie tyle trudu — i stąd wywnioskowałem, iż nie może to być nic innego, jak owa najpiękniejsza rzecz w życiu.

Umierałem wprost z ciekawości, nie mogłem dłużej opierać się pokusie ujżenia na własne oczy „rżnięcia”; żeby zaspokoić ów głód wiedzy zakazanej, gotów byłem nawet narazić się na niebezpieczeństwo.

Zrazu planowałem ześlizgnąć się na podłogę, podczołgać cicho i zerknąć za parawan, ale po przemyśleniu zdecydowałem, że lepiej stanąć na łóżku i zajrzeć sponad papierowej przegrody.

Wstałem zatem powoli, przytrzymując się ściany ile mogłem i starając się robić jak najmniej hałasu; byłem bardzo lekki, łóżko nawet więc nie skrzypnęło.

Przez dłuższą chwilę nie mogłem pojąć nic z tego, na co patrzyłem, ale w końcu dotarło do mnie, że matrona leży na plecach, a Guillaume na niej. Razem poruszali się rytmicznie w dół i do góry.

A więc — pomyślałem — to musi być „bestia z dwojgiem pleców”, z której chłopcy mieli kiedyś tyle uciechy.

Wysilając wzrok, wstrzymując oddech, przesunąłem się ostrożnie na skraj łóżka. Teraz dostrzec mogłem, że grube jej nogi splątane

były z jego nogami i że trzymali się kurczowo w objęciach.

— O tak, tak — mruzczała matrona — ruszaj się leciutko, ale nie podnoś do góry, tak, teraz pchaj go najgłębiej, jak możesz — och!

Chcąc dojrzeć jeszcze więcej, pochyliłem się odrobinę do przodu, gdy — nieoczekiwanie — materac usunął mi się spod nóg i — o nieba! — poślizgnąłem się i z potężnym łoskotem runąłem na ziemię.

Uderzyłem się w głowę i potłukłem plecy, ale nie śmiałem nawet jęknąć; pochlipywałem cichutko dopiero próbując wyplatać się z prześcieradła; nim mi się to udało, matrona była już przy moim łóżku i zatykała mi ręką usta, miażdżąc je niemal ze strachu, że będę wrzeszczeć.

— Co ty wyrabiasz, potworze? — syknęła mi prosto do ucha.

— Ja... ja wypadłem z łóżka.

— Ach tak? Wypadłeś? — chwyciwszy mnie za włosy potrząsnęła gwałtownie — A jakimże to sposobem, co?

— Ja... naprawdę nie wiem, chyba się ześlizgnąłem — odparłem zdyszany.

— Przez sen? — spytała mięknięc trochę.

— Tak, chyba coś mi się śniło.

— Śniło ci się? Och, moje biedactwo — rzekła współczującym tonem całując mnie.

Pomogła mi ułożyć się w łóżku, otuliła i kazała spać.

Zobaczyłem więc, co chciałem, jakkolwiek życzylibym sobie był widzieć jeszcze więcej; rzecz jasna, nie byłem w stanie prędko zasnąć.

Przez chwilę panowała cisza, dopiero po jakimś czasie usłyszałem, jak matrona podchodzi do mego łóżka. Postąpiłem dokładnie tak samo jak wcześniej. Znowu wypowiedziała głośno moje imię. Nie odezwałem się. Wówczas wróciła do łóżka.

— Teraz idź już lepiej — burknęła.

— Och, pozwól mi raz jeszcze go wsunąć — odrzekł jej przymilnym tonem.

Byłem w tym momencie kompletnie zbity z tropu — cóż on takiego chciał wsunąć i gdzie niby miał to wsuwać?

— Nie, nie, nie dzisiaj.

— Ale ten przekłety bękart popsuł wszystko, akurat kiedy miałem wystrzelić.

Przeraziłem się: Do czego on tu chciał strzelać?

— I nic nie poczułem.

— A myślisz, że ja poczułam?

— Pozwól mi więc spróbować jeszcze raz — mówił stale tym samym przymilnym tonem.

— Nie, nie, jesteś tu już zbyt długo; i tak dzisiaj nic z tego, a mogą zauważyć twoją nieobecność i zrobi się raban.

— Nie, nie, we wtorki Derieux śpi zawsze jak zabity.

Ledwie powstrzymałem chichot. Nie wiedziałem wielu rzeczy, ale to akurat, czemu Derieux śpi we wtorki jak zabity, wiedziałem doskonale.

Potem długą chwilę pieścili się i całowali, ale matrona była wciąż nieubłagana.

— Nie — rzekła stanowczo — daremne twoje prośby; ale mam pomysł, jeśli chcesz, możesz mi *faire minette* — to da się zrobić cicho.

Kolejna zagadka. Cóż to znow zamierzali teraz robić? Do tej pory miauczeli jak dwa stare kocury, czyżby mieli dla odmiany figlować cichutko jak kocięta? Wiele bym dał, by móc przyłączyć się do zabawy. Zadawałem sobie pytanie, czy i ja mógłbym zrobić wychowawczyni *minette*? Nie śmiałem drgnąć, czując, że gdybym zepsuł im zabawę po raz drugi, wściekłość ich nie miałaby granic. Nie wiem, na czym polegała zabawa, ale rzeczywiście zachowywali się przez jakiś czas cicho, potem któreś wiło się i rzucało po łóżku jak w gorączce, ciężko dysząc — miałem wrażenie, że to matronę schwycił ból żołądka — a wreszcie usłyszałem ciche westchnienie ulgi — jakby ból minął — i znowu na parę minut zaległa cisza.

Potem zdaje się wstali.

— Dobrze ci było? — zapytał.

— *Fichtrel* — odparła zdecydowanym tonem.

— Nieźle mi poszło, nieprawdaż?

— Owszem.

— Więc — tu wyszeptał tęsknym głosem słowa, których nie dosłyszałem.

— Daj mi spokój, świntuchu.

— Okrutna jesteś.

— Chcesz, żeby ten mały potwór wylazł z łóżka i nas przyłapał? Byłby skandal na całą szkołę.

— Zatem w piątek?

— Tak.

Guillaume podszedł do miednicy, zwilżył twarz i — jak mi się zdawało — płukał usta. Poprzedni Guillaume nie mył się wcale.

Pytanie pierwsze: czy miało to jakiś związek z kocurem?

Pytanie drugie: czy zawsze po figlach z kocurem ludzie się myją?

Przez kilka kolejnych nocy spałem tak mocno jak pan Derieux we wtorki, a pan Ghretien pewnie w środy. Nic nie słyszałem, ani razu się nie przebudziłem. Złapałem, zdaje się, grypę, bardzo lekką zaiste, bo wcale jej nie zauważyłem, ale matrona, która niezwykle mnie polubiła, powiedziała, że kaszlę w nocy i mam charczący oddech, przeto zmuszała mnie co wieczór, bym wypijał przed pójściem do łóżka filiżankę-herbaty. Była bardzo dobra i słodka — podobno z bratków i liści pomarańczy — ale miałem nie wspominać o tym chłopcom, bo mogliby być zazdrośni. Wypijałem herbatę przez kilka nocy, ale — czy to przez grypę, czy z winy upału — im więcej spałem, tym bardziej stawałem się senny.

Wreszcie — po jakichś dwóch tygodniach — patrzeć nie mogąc na *tisane* i nabrawszy pewności, iż nie mam już grypy i wcale nie kaszlę, miał wypić ziółka, pozwalając, by przepłynęły przez ciało, nim ostatecznie i tak znajdą się w nocniku, przemyślnie wlałem je tam od razu.

Zasnąłem, nie popadając wszakże w letarg jak poprzednimi nocami. Przyśnił mi się sen dość szczególny. Byłem na pokładzie statku i była tam ze mną matrona, ale nie mam pewności, czy leżeliśmy w łóżku czy nie. Naraz fale wznosić się poczęły wysoko, uderzając o dziób statku prującego z mozołem do przodu. Wielkie żagle wzdymała potężna wichura, a jednak sły-

szalem, jak trzepoczą rytmicznie w takt skrzypienia desek i pokładnic. Motor dyszał jak oszalały, a trzon tłoka pracował w cylindrze z głuchym łoskotem w dół i w górę. Nagle zostaliśmy zaatakowani przez piratów — zupełnie jak w historii, którą czytałem tego wieczora; jeden z nich dobrał się do matrony — tak jak Guillaume Chrétien dwa tygodnie wcześniej — a ona, biedactwo, łkać poczęła i wzywać pomocy. Zaiste, słyszałem ją bardzo wyraźnie; sapała, jęczała, kwiczała niemal.

Porwałem przeto drąg żelazny i skoczyłem jej na pomoc. Ktoś pociągnął za dzwonek, okręt stał w płomieniach, wrzasnąłem o pomoc, darłem się wniebogłosy...

Rozległo się pośpieszne szuranie. Matrona była przy moim łóżku, dusząc mnie niemal, oczy miała wytrzeszczone, włosy potargane, wyglądała jak diabeł. Przy moim łóżku pojawił się też jakiś mężczyzna.

— Krzycz, łajdaku, a zamorduję cię!

Próbowałem krzyczeć, ale matrona zatkała mi usta. Teraz rozpoznałem mężczyznę, który mi groził. Był to Guillaume, barczysty służący z Owernii. W następnej sekundzie zniknął za parawanem.

Chwilę później w korytarzu pozapałały się światła i rozległy się kroki, ale nikt wejść nie mógł do środka, drzwi bowiem zamknięto od wewnątrz. Matrona powiedziała im, że wszystko w porządku, że coś mi się przyśniło i przez sen pociągnąłem za dzwonek; rozeszli się więc gderając i wyklinając na mnie, że więcej ze mną kłopotu niż z całą szkołą razem wziętą.

Matrona, potrząsnąwszy, rzuciła mnie na łóżko, nakazując natychmiast zasnąć, co też starałem się uczynić.

Mój pobyt w szkole nie miał już wszakże trwać zbyt długo.

W niedługi czas po incydencie tamtej nocy pan Deneux wyjaśniał nam coś w związku z tematem wojen perskich. Temat był ciekawy przeto większość z nas — wbrew swym zwyczajom — nadstawiało ucha, by nie uronić z wykładu jednego słowa. Pamiętam, jak opowiadał o walczących bohatercko piętnasto-, szesnastoletnich chłopcach.

Nagle siedzący obok mnie chłopak — ten który pytał kiedyś, czy widziałem bestię z dwojgiem pleców — szepnął mi do ucha:

— Zapytaj go, w jakim wieku mężczyzna może pierwszy raz wystrzelić!

— Po co? — zdziwiłem się dobrodusznie, nie rozumiejąc ukrytego sensu pytania.

— Zeby było śmiesznie.

— Ale w tym nie ma nic śmiesznego.

— Zapytaj, to się przekonasz.

— Sam zapytaj.

— Boisz się, co?

— Nie boję się.

— Więc zapytaj.

Zrobiłem, co kazał. Zwyczajnie, spytałem wprost.

Pan Derieux spurpurowiał i zerwał się z krzesła jak oparzony. Cała klasa wybuchnęła gromkim śmiechem. Pan Derieux obrzucił mnie piorunującym spojrzeniem, trzasnął po głowie trzymaną w ręku książką i nakazał ciszę



Uczniowie, nie ogląda wszy go nigdy w takim stanie, zamilkli przerażeni.

— Wyjdź! — rzekł gniewnie.

— Ale dlaczego? — spytałem drżącym głosem.

— Już cię tu nie ma; słyszałeś?

— Ale, proszę pana — wyjąkałem — ja nie miałem na myśli... chciałem powiedzieć, to nie ja, to...

— W tej chwili wyjdź z klasy, nicponiu, albo zawołam Guillaume'a.

Wiedziałem, że tamten Guillaume — a właściwie każdy z trzech Guillaume'ów — żywi do mnie urazę. Szybko podniosłem się z miejsca, rzucając jeszcze błagalne spojrzenie sąsiadowi, w nadziei, że wstanie i wytłumaczy. Siedział cicho, z głową nisko spuszczoną.

Zamknięto mnie w odosobnieniu, nie ujrzałem już żadnego z chłopców; później, po kilku dniach, zostałem wydalony ze szkoły.

Dlaczego, nie miałem pojęcia.

Mówiono coś o czarnej owcy, złym wpływie, ziarnie i plewach, lecz ja nic z tego nie mogłem pojąć; myślę jednak, że pewnie mieli rację, byli wszak uczonymi profesorami, ja zaś tylko małym, pozbawionym matczynej Opieki chłopcem.